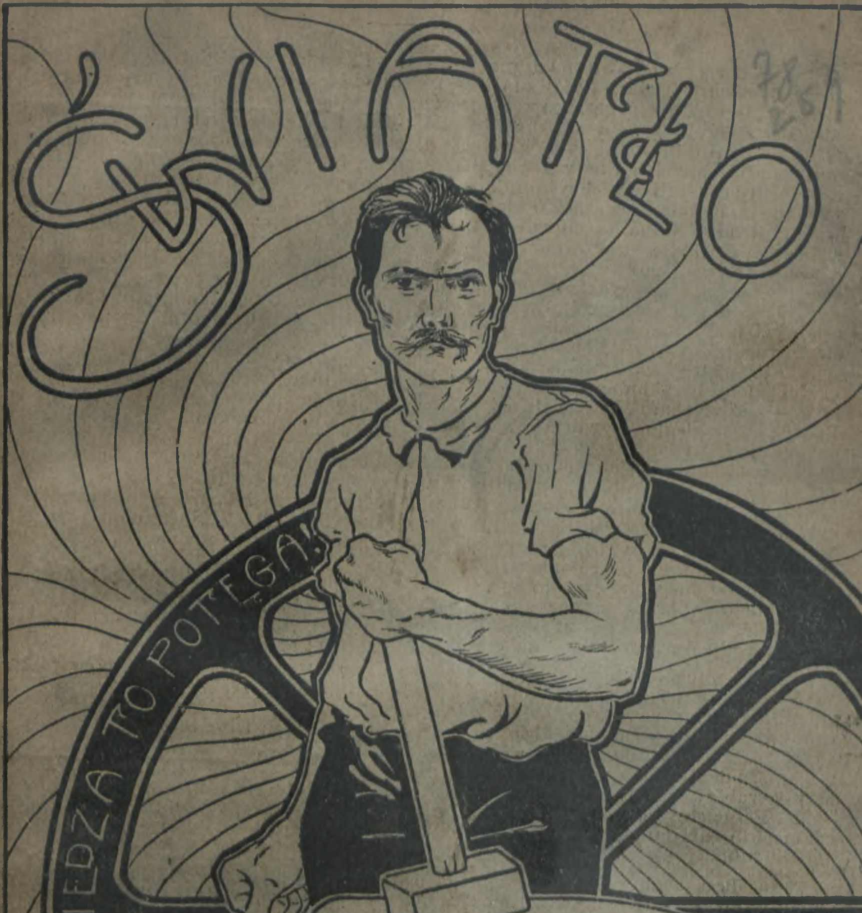
N⁰ 1 1898 Rok I



CZASOPISMO POPULARNO-NAUKOWE

ORGAN POLSKIEJ PARTYI SOCYALISTYCZNEJ.

wychodzi raz na kwartał

Adres redakcyi i administracyi :

Jòzef Kaniowski, 119 Stepney Green Dwellings, Stepney, London E.

LONDYN

W drukarni Związku Zagranicznego Socyalistów Polskich

DROBNE NOTATKI

— O ruchu robotniczym w Japonii coraz częściej słyszymy w ostatnich czasach. Z wiadomości zupełnie wiarogodnych widać, iż istnieją tam już związki zawodowe robotników i prowadzą walkę z kapitalistami za pomocą strejków. Strejki trwają zwykle krótko, a rezultat ich zależy od stanu interesu w którym się odbywają. Wobec rozwoju kapitalizmu często brak jest robotników wykwalifikowanych i wtedy kapitaliści przystają na żądania strejkujących. Zresztą ruch istnieje i wśród robotników nie fachowych. W warsztatach okrętowych w Jokohama zastrejkowało 400 cieśli i zwyciężyli po 14 dniach. Robotnicy kolejowi na drodze Nipońskiej urządzili demonstracyę, żądając podwyżki płacy, i dopięli swego. Cieśle okrętowi w Tukoszyma zastrejkowali w liczbie 71 i po kilku dniach otrzymali podwyżkę płacy. Również zwycięstwem zakończył się krótki strejk mularzy. Są jednak i niepomyślne strejki. Tak np. w pewnej tkalni jedwabiu coprawda żądaną podwyżkę płacy przyznano robotnikom, ale wydalono z fabryki przywódców strejku. W pewnej przędzalni 120 robotników przegrało strejk zupełnie i przywódców też wydalono.

Przy strejkach w kopalniach zwykle miesza się policya, ale po większej części po to, by skłonić dyrekcyę do ustępstw; o tem by prześladowała robotników — nie słychać. Wiedzieliśmy coprawda, że Japonia stoi daleko wyżej od Rosyi pod względem cywilizacyi, ale mamy tego nowy dowód na ruchu robotniczym.

Gazety angielskie donoszą o piśmie robotniczem wydawanem w Jokohamie po japońsku, pod tytułem: «Świat Robotniczy», w którem między innemi jest wiadomość o związku zawodowym robotników wyrobów żelaznych w Tokio. Liczy on w Tokio 1.200 członków i ma oddziały w 20 miastach. Naturalnie związki takie w Japonii mogą być i są jawne. Obecnie związki te zakładają także sklepy spółdzielcze dla swych członków.

Pismo socyalistyczne londyńskie «Clarion» zawiadamia, że do parlamentu japońskiego wybrano 2 socyalistów. Tę wiadomość jednak należałoby jeszcze sprawdzić. W każdym razie — parlament w Japonii jest, więc jeżeli nawet teraz socyalistów jeszcze w nim niema, to prędko będą.

— Podług ostatnich danych urzędowych do związków zawodowych w Anglii należało w 1895 roku 1.330.104 robotników, w tem górników 268.384, robotników przy wyrobach metalowych 243.069, tkaczy i przędzalników 197.035, robotników budowlanych 186.605, robotników kolejowych i majtków 111.084, krawców 83.823, robotników rolnych i wyrobników — 75.458, drukarzy i robotników w papierniach 48.674, przy wyrobach z drzewa 26.086, szklarzy i garncarzy 19.216, przy wyrobie pokarmów i w fabrykach tytoniu 17.442, różnych innych fachów 53.228. Przeciętny przychód roczny od członka związku był 17 rubli, wydatek na członka 15 rubli, majątku w kasach związkowych wypadało na członka przeciętnie 19 rubli.

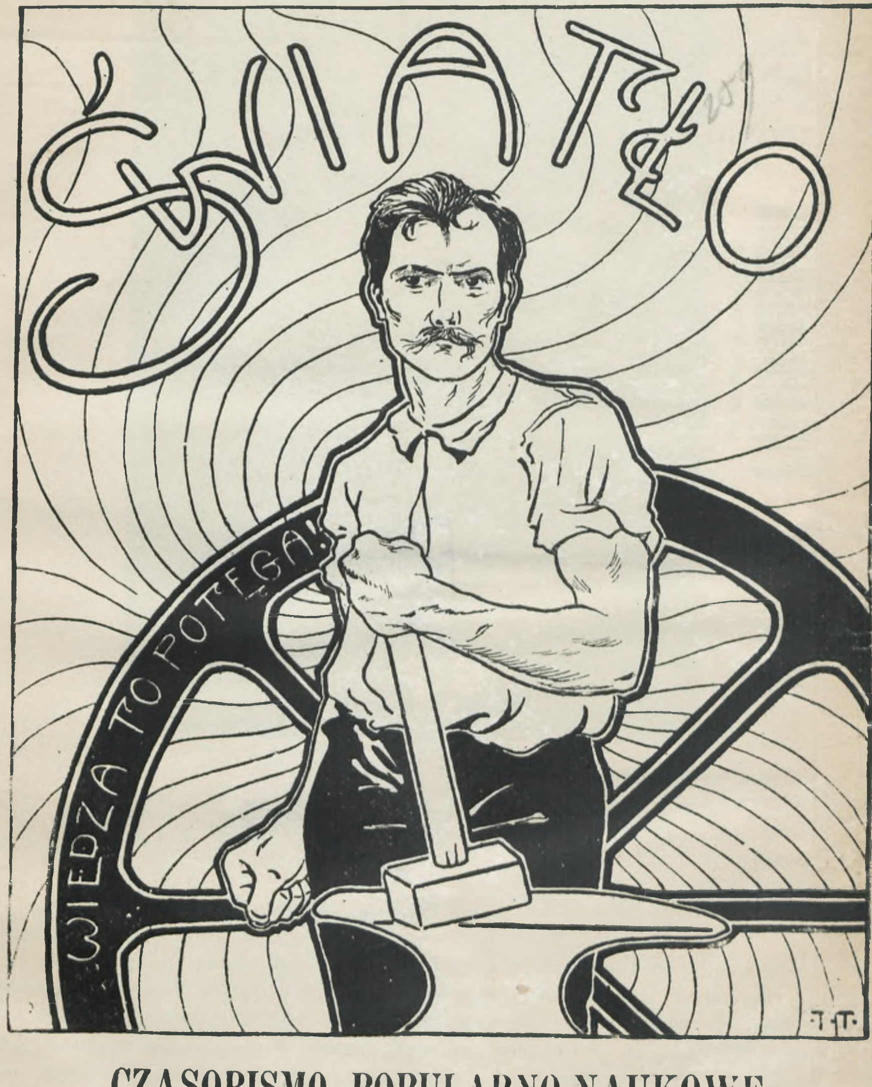
— Przy wyborach do parlamentu 5 kwietnia r. b. socyaliści duńscy przeprowadzili dwunastu swoich posłów (ogółem posłów jest 113). W poprzednim parlamencie było ich 9.

— W 1875 roku familia Rotszyldów miała majątku około 2.000.000.000 rubli, obecnie ten sam majątek wynosi już 4.000.000.000 rubli, czyli w ciągu 22 lat podwoił się. Na zebranie pierwszej sumy musieli rabować ludzkość prawie przez sto lat, teraz w 22 lata zebrali drugie tyle.

— D. 30 marca r. b. odebrała sobie życie Eleonora Marx-Aveling. Zmarła zajmowała jedno z najwybitniejszych stanowisk w ruchu socyalistycznym i zawodowo-robotniczym angielskim. Wierna tradycyom swego ojca, Karola Marxa, była gorącą przyjaciółką Polski i niosła czynną pomoc naszemu ruchowi. Ciężkie życie stargało jej siły. Ruch angielski, ogólno-międzynarodowy i polski poniósł wielką stratę. Cześć jej pamięci!

— D. 18 marca r. b. po czteromiesięcznem więzieniu wyszedł znowu na wolność czcigodny nasz towarzysz i przyjaciel Wilhelm Liebknecht, wódz niemieckiej partyi socyalno-demokratycznej. Z radością witali go towarzysze niemieccy; posypały się listy i depesze pozdrawiające od socyalistów całego świata. Między licznemi pozdrowieniami od polaków była i depesza redakcyi »Światła«. Liebknecht wyszedł z więzienia w sam dzień 50 rocznicy rewolucyi berlińskiej 1848 r. i 27 rocznicy komuny paryskiej. Nowy Rok Liebknecht po raz ósmy spędzał w więzieniu!

Rok pierwszy 1898.



CZASOPISMO POPULARNO-NAUKOWE

ORGAN POLSKIEJ PARTYI SOCYALISTYCZNEJ

wychodzi raz na kwartał

Adres redakcyi i administracyi :

Józef Kaniowski, 119 Stepney Green Dwellings, Stepney, London E.

ŁONDYN

W drukarni Związku Zagranicznego Socyalistów Polskich



KS. PIOTR ŚCIEGIENNY

Ksiądz Piotr Ściegienny urodził się w 1800 roku w Sandomierskiem jako syn włościanina.

Ile ciężkiej pracy, biedy a pewno i upokorzeń musiał on przecierpieć, zanim w stosunkowo późnym wieku doszedł do święceń kapłańskich, — tego nie wiemy, ale to łatwo sobie wyobrazić. Dość, że około 1830 roku skończył on seminaryum u Pijarów w Opolu. Tu też w szkole Pijarów był on przez jakiś czas nauczycielem, dopókąd zakonu tego nie zamknięto. Już w powstaniu 1831 roku widzimy Ściegiennego kapelanem obozowym. Powstanie upadło, a Ściegienny udał się na wieś, by jako ksiądz pracować dla dobra ludu, z którego pochodził. Został on proboszczem w Chodlu, w Lubelskiem.

Ciężkie to były czasy dla chłopa polskiego. Chodził on wówczas w jarzmie pańszczyzny pod batem ekonoma. O tem, co się działo poza obrębem jego wioski, nie miał żadnego pojęcia; ciemnota panowała na wsi nie rozpraszana żadnym promykiem światła.

Poza szarą ciżbą współbraci wioskowych, biedaków przykutych jak woły robocze do pługa i cierpiących całe życie nędzę, chłop nasz widział i znał trzy tylko osoby na świecie : pana, ekonoma i księdza. Pan był dla chłopa wcielonym uciskiem i wyzyskiem : wszystkie krzywdy i dolegliwości, które się działy chłopu, we dworze pańskim brały swój początek. Ekonom był narzędziem pańskiem. Zato wszystko dobre, co chłop widział, chociaż nie dużo tego było, spływało nań ze strony księdza. Jeśli się kto wstawił za chłopem do pana, to ksiądz. Jeśli chłop usłyszał od kogo dobre słowo, to od księdza. Ksiądz był jedynym pocieszycielem chłopa w życiu codziennem i na łożu śmierci. Ksiądz mu obiecywał lepszą dolę, jeśli nie na tym padole płaczu, to przynajmniej w niebie.

A chłop za ciemny był jeszcze, by w sobie samym, w sile milionów pracującego ludu szukać pomocy. Nic też dziwnego, że lgnął całem sercem zbolałem do księdza, a całą nienawiść, zrodzoną wiekami niewoli i upośledzenia, skierował w stronę dworu.

Tego, że rząd najezdniczy był najlepszą oporą i pomocą dworu, tego chłop nasz nie widział jeszcze. Za rzadko wówczas zrywał się on do walki z uciskiem, by dojrzeć, że ma wrogów, i to wrogów strasznych, nie tylko w dworze wioskowego dziedzica. Jednak już wówczas zaczął się chłop spotykać z rządem carskim : pobór wojskowy brał podatek krwi z rodzin włościańskich, a rekrutów pędzono w kajdanach na zgubę do Rosyi.

W takich warunkach rozpoczął swą pracę Ściegienny. Że dobrze się do niej zabrał, tego najlepszym dowodem jest nienawiść, jaką wkrótce zapałała do niego okoliczna szlachta. Opowiadano sobie o Ściegiennym, że chce wymordować całą szlachtę. Zato wśród włościaństwa w Kieleckiem i Lubelskiem dotąd jeszcze nie zginęła pamięć chłopa-księdza, który im pomagał w potrzebie a z ambony nieraz żarliwie karcił wybryki panów.

Ale Ściegienny nie ograniczał się do takiej ojcowskiej opieki nad ujarzmionymi. Wiedział, że lud mógłby sam sobą najlepiej się zaopiekować, gdyby dobrze rozumiał swe położenie i swoje siły. Usiłował też rozbudzić w chłopstwie to zrozumienie, a robił to nie tylko z ambony lecz i w codziennych spotkaniach z chłopem. Opowiadają o nim, jak nieraz w polu brał garść wymłóconej pszenicy i mawiał : „Ziarno — to wy, chłopi. Panowie — to plewy!“ A dmuchnąwszy w garść pokazywał, że zostały tylko ziarna.

Już własne dzieciństwo pod strzechą chłopską otworzyło oczy Ściegiennemu na nędzę ludu pracującego. Gdy znów stanął wśród braci siermiężnej, odrazu zaczął starać się o wyjaśnienie im przyczyn ich niedoli. Ale dopiero powoli przychodził sam do myśli, jak tej nędzy zaradzić. Przychodził do tego własnemi rozmyślaniami na pustkowiu wiejskiem, ale niejaką pomocą mogło mu być i parę książek, które miał i pilnie czytywał. Najwięcej trafiały mu do przekonania „Księgi Ludu“ francuskiego księdza-socyalisty Lamennais'go (Lamenego). Była to ta sama książka, która wywarła wielki wpływ na naszego wielkiego poetę — Mickiewicza.

Tak więc własnemi rozmyślaniami i przy pomocy książek Ściegienny doszedł do następujących pomysłów: Własność prywatna roli i różnice posiadania między ludźmi są główną podstawą rządów despotycznych i niewoli. By usunąć niewolę i zabezpieczyć dobrobyt dla wszystkich obywateli, trzeba znieść prywatną własność ziemską, a zaprowadzić natomiast własność gminną. Każda gmina obiera sobie księdza, który dogląda porządku w gospodarstwie gminnem. Rada, składająca się z takich księży, zarządza sprawami całego państwa.

Ściegienny więc już dobrze rozumiał, że dopókąd rola będzie należała do jednostek, dotąd nie będzie porządku w społeczeństwie i będzie istniała nędza. Ale chciał on oddać ziemię do dowolnego rozporządzenia każdej pojedyńczej gminie. Tak można było myśleć za jego czasów, gdy wieśniak prawie nie wyglądał za granice swej wioski i żył tylko tem, co sam zebrał z zagona. Teraz gdy chłop tyle rzeczy musi w mieście kupować, gdy nawet rosyjski chłop musiał w czasie głodu żywić się zbożem z Indyi, widzimy, że gospodarka całego narodu albo nawet i całej ludzkości cywilizowanej połączone są nierozerwalnymi węzłami. Chcąc zaprowadzić porządek w gospodarce, nie możemy rozdzielać narodu na gminy. Każda gmina musi zawsze coprawda w pewnych sprawach sama się rządzić. Ale główny zarząd a więc i zwierzchnia własność wszystkich środków do pracy, zarówno ziemi i kopalń jak fabryk, muszą należeć do całego społeczeństwa.

Ma się rozumieć, Ściegienny nie mógł myśleć o wspólnej własności fabryk, bo fabryk u nas było wówczas jeszcze bardzo mało.

Jednak najciekawsze w pomyśle Ściegiennego, to jest owo rządzenie gminą i całem państwem przez księży. Mówiliśmy już, że Ściegienny chciał, by lud pracujący doszedł do zrozumienia swych potrzeb i swej siły. Ale tu widzimy, że Ściegienny nie wierzył sam w to, by lud potrafił sobą rządzić. Szukał więc dla niego opiekunów, a gdzież ich miał szukać jak nie w duchowieństwie? Sądził innych księży po sobie, i wiedział, że lud wiejski w księżach widzi swych przyjaciół. My, którzyśmy już widzieli zdrady Stojałowskich itp., takiego błędu byśmy nie popełnili. Ale nie dziwmy się Ściegiennemu. Od owych czasów minęło 60 lat. Na ziemiach polskich zjawił się proletaryat miejski, robotnicy sami upomnieli się o swe prawa i dowiedli tem, że potrafią sobą rządzić. Pod wpływem robotników miejskich zaczął się już poruszać i lud wiejski. Ale za czasów Ściegiennego — było inaczej.

Ściegienny widział doskonale, że dla zaprowadzenia owego związku wolnych gmin i wspólnej własności ziemskiej trzeba stoczyć bój z najazdem moskiewskim, z carskim despotyzmem. Z drugiej strony chciał on, by lud wiedział, co ma robić, gdy się załatwi z carem. Zaczął więc zrazu wśród własnej rodziny (własnych braci gospodarzy wiejskich), a potem w poufnem kole włościan z rodzinnej wioski krzewić swoje poglądy zarówno na ucisk carski i pański jak i na środki zaradzenia tej niewoli. Zaczął organizować wśród włościan tajne kółka rewolucyjne.

Z rodzinnej wioski przeniósł agitacyę i w dalsze okolice i jeździł z początku sam po kraju, a potem również rozsyłał zaufanych.

Spisek rósł potężnie. Włościanie chętnie słuchali nowej ewangelii : sprawiedliwości, braterstwa i walki z uciskiem. Początki spisku sięgają 1835 roku, a sprzysiężenie trwało prawie przez 10 lat — aż do 1844 roku. To jedno wystarcza, by wskazać, jaki zapał i jaka wiara w świętą sprawę ożywiały sprzysiężonych chłopów. Przez 10 lat tysiące chłopów należały do spisku. Agitacya i propaganda odbywały się w drobnych wioszczynach, tuż pod okiem panów, ekonomów i carskich urzędników. Wszystko to działo się w jednej okolicy. A jednak przez 10 lat rząd carski o niczem się nie dowiedział!

Jednak i ta świetna strona spisku Ściegiennego odrazu prowadzi nas do przyczyn jego słabości. Każdy dzisiejszy ruch świadomego proletaryatu jest nie tylko propagandą zasad lepszego ustroju społecznego, nie tylko przygotowywaniem się i szykowaniem do przyszłej walki, ale i walką samą. W tej codziennej walce z wyzyskiwaczami i rządem o codzienne potrzeby i codzienne krzywdy, proletaryat nasz ćwiczy się, uczy i hartuje na stal. Dlatego też śmierć, uwięzienie lub nawet zdrada największych przywódców dzisiejszego ruchu robotniczego małe ma znaczenie dla tego ruchu. Ale też dlatego w codziennej walce musimy dziś codzień ponosić ofiary, a w walce z takim rządem, jak dziki carat rosyjski, ofiary te muszą być ciężkie.

W spisku Ściegiennego było inaczej. Że zapał u zwolenników Ściegiennego musiał być wielki, to widzieliśmy. Zato nie wiemy, o ile oni naprawdę rozumieli jego plany. Ale czy dobrze go rozumieli czy nie — jedno jest pewne : nie zaprawieni do samodzielnej walki całą swą nadzieję na jednym wodzu — Ściegiennym pokładali, słuchali go, jak dzieci w szkole słuchają nauczyciela. Gdy więc im Ściegiennego zabrakło, — powrócili napowrót do jarzma z rozpaczą w sercu, lecz bez żadnej otuchy do dalszej walki.

Chwila ta nadeszła w 1844 roku. Zimą 1843—44 r. Ściegienny, coraz bardziej rozszerzając koło swych stosunków, spotkał się z członkami warszawskiego spisku młodzieży. Ludzie ci dążyli do wywalczenia niepodległości Polski. Ściegienny dążył do tego samego celu. Spiskowcy warszawscy coprawda nie rozumieli planów Ściegiennego ,i nie odczuwali tak jak on, niedoli ludu pracującego, ale połączyła ich ze Ściegiennym nienawiść do wspólnego wroga · caratu rosyjskiego. Ten związek z patryotami warszawskimi przyśpieszył zgubę spisku Ściegiennego.

Ściegienny chciał niepodległej Polski dla ludu pracującego i wywalczonej przez ten lud, chciał więc jeszcze długie lata oświecać lud, a w ten sposób dalej przygotowywać i rozszerzać swój spisek. Patryotom szło tylko o szybkie powstanie. Czy Ściegiennemu udałoby się, podług pierwotnych jego planów, długo jeszcze ukrywać swą rewolucyjną robotę, tego coprawda nie wiemy ; ale szybki wybuch, na który Ściegienny pod namową patryotów przystał, położył kres całej dziesięcioletniej pracy jego.

Już we wrześniu 1844 r. Ściegienny wygłosił kazanie w kościele na górze Śto-Krzyskiej, w którem wzywał lud do skupiania się koło sztandaru Matki Boskiej. Lud zrozumiał to hasło i zaczął się w całej okolicy zbroić. Spisek miał wybuchnąć w Kieleckiem. Wobec blizkiego wybuchu Ściegienny porzucił swą dawną ostrożność. Dnia 24 października zjawił się on — po raz ostatni — w lasach wsi Krajno pod Kielcami, zagrzewał chłopów do walki i radził własnemi rękami zdobyć wszystko, czego pragną. Ale w spisku był zdrajca. W kilka dni potem setki ludzi zapełniało więzienie Kieleckie i Cytadelę Warszawską. Ściegienny ukrywał się w klasztorze Bernardynów pod Kielcami i nawet stamtąd prowadził dalej agitacyę. Lecz go wkrótce wykryto.

Odbył się sąd wojenny w Kielcach. Braci Ściegiennego : Karola i Dominika — przepędzono przez kije i wysłano do robót ciężkich w kopalniach nerczyńskich. Włościanie : Baltazar Susło i Teofil Stójkowski otrzymali po tysiąc kijów i również poszli do kopalń nerczyńskich. Mnóstwo chłopów, zarówno mężczyzn jak kobiet, ćwiczono rózgami i wysyłano na Sybir. Ściegiennego skazano na śmierć, założono mu już stryczek na szyję, ale pod szubienicą odczytano wyrok zmieniający karę śmierci na dożywotnie roboty w kopalniach nerczyńskich.

Ściegienny na duchu nie upadł. Już w więzieniu śmiało głosił on swe poglądy przed gubernatorem. W Nerczyńsku rozmyślał dalej nad swą teoryą i szerzył ją wśród współwygnańców. W robotach ciężkich trzymano go do 1857 r. Potem osiedlono na Syberyi, w 1864 r. przeniesiono go do północno-wschodniej Rosyi. Przez cały ten czas Ściegienny z równym zapałem prowadził propagandę, korzystając zwłaszcza z licznego napływu wygnańców po upadku powstania 63 roku. Z tych wygnańców Ściegienny założył też rodzaj gminy ze wspólną własnością. Spisał on swą teoryę na papierze, ale przed rewizyą żandarmską musiał ją spalić. Żandarmerya, jak widzimy, miała przyczyny obawiać się 64-letniego starca. Wysłano go też z Permi znowu dalej na północ. Jedyne książki, które Ściegienny posiadał przez 25 lat wygnania, były : biblia oraz własnoręcznie przepisany egzemplarz „Pana Tadeusza“!

W 1869 r. pozwolono Ściegiennemu wrócić do Polski, ale osiedlono go pod dozorem policyi w Lublinie. Długi czas jako człowiek podejrzany nie mógł on dostać żadnej posady i nie miał środków do życia. W 1883 r. nareszcie został kapelanem przy szpitalu Bonifratrów w Lublinie i na tem stanowisku zakończył życie 30 listopada 1890 r.

Taki jest przebieg 90 lat ciernistego żywota pierwszego w Polsce apostoła socyalizmu! W powyższem opowiadaniu wskazaliśmy na różne błędy Ściegiennego. Ale błędów tych w owych czasach nie sposób było uniknąć. Gdy Ściegienny rozpoczynał swą robotę rewolucyjną, a nawet wtedy gdy po 10 latach ręka moskiewskiego zbira przedwczesny kres kładła jego działalności — wówczas nawet w krajach daleko bardziej rozwiniętych pod względem społecznym, daleko szczę-

śliwszych od Polski pod względem politycznym — nie wielu było ludzi dalej widzących niż Ściegienny lub jemu dorównujących. Teorye Ściegiennego nie wiele ustępują teoryom współczesnych z nim socyalistów francuskich, a praktyczna jego działalność stoi daleko wyżej. Gdy oni w gabinetach układali rozmaite dowcipne plany, on odrazu wszedł w szeregi ludu pracującego i prowadził je do walki zarówno z uciskiem politycznym i narodowym, jak z wyzyskiem i ciemięstwem szlacheckiem.

W historyi ludzkości spotykamy czasem ludzi, którzy o całą głowę przerośli swe otoczenie i swój czas, usiłują porwać za sobą społeczeństwo na drogi, których ono nawet jeszcze nie przeczuwa. Ludzie tacy giną na rusztowaniu lub gniją w kajdanach. Praca ich idzie — zdawałoby się na marne. A jednak pozostają oni świecznikami, oświetlającymi drogę dalszych pokoleń. Imiona ich, pamięć ich czynów i męczeństw zagrzewa długie szeregi następców w walce o wolność i szczęście ludzkości. Jakiż dziś świadomy robotnik polski nie słyszał imienia Ściegiennego, kogoż z nas nie zapalało ono świętym ogniem nienawiści do ciemnych potęg ucisku? Zaiste, ani jedna kropla krwi, wylanej w walce o postęp społeczeństw, nie ginie na marne; ani jeden jęk więźnia, cierpiącego za wolność współbraci, nie przebrzmiewa bez echa w przestrzeni!

B. A. J.

ROK 1848 W POZNAŃSKIEM

« Wolności żaden jeszcze monarcha nie darował, ani nie sprzedał ; naród, który chce wolności, musi ją zdobyć. Cierpliwemu nic nie dają, grożącemu mało, używającemu swej przemocy — wszystko ».

D. 24 lutego 1848 roku lud paryski spalił na placu publicznym tron królewski, wypędził mieszczańskiego bożka a zarazem przyjaciela cara Mikołaja, — króla Ludwika Filipa i ogłosił rzeczpospolitą. Rewolucya w Paryżu była iskrą, co zapaliła w Europie nagromadzone prochy. Z początkiem marca wichura rewolucyjna obiegła lotem błyskawicy wszystkie małe królestwa i księstwa niemieckie, 13 marca wypłoszyła z Wiednia zatwardziałego zbrodniarza Metternicha, co przez lat trzydzieści knuł zamachy na wolność, i podsuwała się coraz bliżej pod Berlin. Fryderyk Wilhelm IV, król pruski, czując trzęsienie swego tronu, przybrał raptownie maskę obrońcy ludu i 18 marca zapowiedział przyłączenie do Niemiec tych części swego państwa, które tego zechcą, zwołanie sejmu i zniesienie cenzury. W Berlinie zapanowała radość nie do opisania. Olbrzymi tłum, przed zamkiem królewskim zebrany, głośno swe zadowolenie i przychylność królowi wyrażał. Ale królowi naraz żal się zrobiło uszczuplenia władzy. Wiwaty na cześć króla nie ustawały, gdy wtem oddział wojska rzuca się na lud bezbronny i daje ognia. Lud z okrzykiem „zdrada!“ rozsy-

puje się po ulicach Berlina i w okamgnieniu miasto pokrywa się barykadami. Walka uliczna trwała przez 18 i 19 marca. Lud zwyciężył. Rano 20 marca proklamacya królewska na rogach ulic porozlepiana zapowiada „kochanym berlińczykom“ cofnięcie wojsk ze stolicy i konstytucyę. Lud, choć go tak sromotnie oszukano, zadowolnił się ustępstwami króla i, łatwowierny jak dziecko, nie myśląc o zabezpieczeniu drogo zdobytej wolności przez powszechne uzbrojenie i wygnanie króla, oddawał się uciesze i radości. Srodze tę łatwowierność w przyszłości odpokutował.

Wśród powszechnego wesela przypomniano sobie o polakach, którzy od 1847 roku zapełniali więzienie berlińskie. Otwarły się wrota Moabitu i lud serdecznie witał polskich więźniów. Mierosławskiego i Libelta, dwóch najznakomitszych spiskowców z 1846 r., wyniesiono na rękach z celi, wsadzono do dorożki i wśród okrzyków: „Niech żyje Polska!“ zaciągnięto pod zamek królewski. Tu zmuszono króla do wyjścia na balkon i powitania tych, których jego mściwość przed rokiem na śmierć skazała. Nienawiść narodowa zdawała się znikać wraz z uzyskaniem wolności. Lud głośno przyrzekał swą pomoc polakom w odbudowaniu Polski. Liczne zebrania ludowe i gazety wołały na cały głos, że naród niemiecki winien zmazać hańbę, jaką się okrył przez rozbiór Polski. Obawa przed Moskwą, która z hordami kozaków mogła wkroczyć do Prus dla ratowania upadającego tronu, w silnym stopniu wzmagała przychylność niemców dla polaków.

Kiedy się to dzieje w Berlinie, wieść o ustępstwach króla z 18 marca dobiega do Poznania. 20 marca cicha stolica Wielkopolski, w której od 1846 roku, czasu „wykrycia wielkiego spisku na całość i bezpieczeństwo Prus“ i uwięzienia kilkuset najdzielniejszych polaków, rozlegały się tylko wołania pruskich szyldwachów i brzęk ostróg żandarmskich, zapełniła się gwarem i przybrała szatę odświętną. Kilkutysięczny tłum wysypuje na ulicę z dźwiękami dziarskiego marszu „Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy“, z okien domów wychylają się chorągwie polskie, lud przypina sobie polskie kokardy i śpieszy do bazaru, największego gmachu w Poznaniu, gdzie na wniosek Stefańskiego, księgarza, okrzyknięto komitet z 17 osób z wszystkich warstw narodu dla kierowania ruchem.

Za przykładem stolicy ruszyło się całe Księstwo Poznańskie. Wczorajszy niewolnik powstał. Zapał rewolucyjny ogarnął wszystkie klasy narodu. Jak daleko ziemia polska sięga, powiewały chorągwie polskie i brzmiały pieśni narodowe. Lud zbroił się pośpiesznie w co się dało. Wkrótce w rozmaitych miastach powstały zbrojne kupy. Największe masy zbrojnych zebrały się w Trzemesznie i Wrześni. Ilość gotowych do boju zaraz w pierwszej chwili liczono na 20.000. Wśród powszechnego uniesienia rozwarły się szkatuły i naród składał swój grosz wdowi na ołtarzu ojczyzny. Wszystkich ożywiała jedna myśl: zaciętej walki z ciemięzcami Polski.

Wybrany w Poznaniu komitet był prawdziwem nieszczęściem powstania. Złożony z ludzi słabych, chwiejnych, w siły własnego narodu nie wierzących, do wszystkiego, ale nie do rewolucyi stworzo-

nych, wszelkiego gwałtownego ruchu i stanowczych kroków unikających, nie umiał on odgadnąć pragnień powstającego narodu i zrozumieć położenia. Zamiast więc ogłosić się rządem narodowym, powołać do broni wszystko, co zdrowe i silne, i rozbroiwszy prusaków w Poznańskiem, wkroczyć z armią rewolucyjną do Królestwa Polskiego i na Litwę, komitetowi zdawało się najlepszem wejść w układy z prusakami. Ledwo co wybrany, komitet wysyła deputacyę do króla, która, opierając się na przyrzeczeniach królewskich, miała domagać się oddzielenia Księstwa od Prus.

A więc chwila dla rewolucyi jak najpomyślniejsza miała być znowu niepowrotnie straconą! W całem Poznańskiem było zaledwie parę tysięcy wojska. W fortecy poznańskiej, gdzie stała trzytysiączna załoga, podoficerowie i żołnierze polacy czekali tylko rozkazu, aby niemców rozbroić i do spółki z ludem fortecę zdobyć. W Kongresówce i na Litwie car miał tylko nieliczną armię i tak rozstawioną, że wkraczająca rewolucya bez żadnej przeszkody zdobyłaby cały pas po lewym brzegu Wisły i, zasiliwszy się tu ludem bitnym, stałaby się odrazu groźną dla moskiewskiego najazdu. Taki traf szczęśliwy rzadko się zdarza.

Zdobywszy się na wysłanie deputacyi do Berlina, komitet spoczął z zadowoleniem. Prawda, nakazał on tworzyć komitety po powiatach, wydał odezwę do żydów i niemców z oświadczeniem, że nikt ich niepokoić nie myśli, wzywał chłopów, aby nie szli na lep komisarzy policyjnych, którzy wmawiali w nich, że szlachta chce pańszczyznę przywrócić, ustanowił gwardyę bezpieczeństwa w Poznaniu, ale wszystko to raczej dla uspokojenia różnych „poczciwych“ obywateli, co się więcej ruchawki, niż prusaków bali. Dopiero coraz silniejsze poruszenie w Księstwie, coraz śpieszniejsze zbrojenie się ludu, który wszelkie układy z prusakami słusznie za zdradę lub szaleństwo uważał, landratów (naczelników powiatu) nieprzychylnych wyganiał, orły pruskie z gmachów publicznych usuwał, wyprowadziły komitet z dotychczasowej bezczynności. Dopiero więc w tydzień prawie po 20 marca wydał komitet odezwę do ludu polskiego, w której ogłasza równość wszystkich wobec prawa, zniesienie szlachectwa, zniesienie poddaństwa, pańszczyzny i wszelkich czynszów — (w Poznańskiem chłopi byli uwłaszczeni już od 1823 roku) opiekę nad nieposiadającymi ziemi i podatki stosownie do majątku i dochodu. Ustanowiono wydział wojskowy, który miał się zająć formowaniem wojska w okolicach Trzemeszna, Pleszewa i Środy, skąd łatwy był wymarsz na Litwę i do Galicyi W powiatach wyznaczono komisarzy dla dostarczania wojsku żywności. Wreszcie wezwano naród do składek na broń. Komitet zdobył się nawet na coś więcej. Na wniosek Moraczewskiego postanowiono utworzyć rząd narodowy rzeczypospolitej polskiej, który we właściwej chwili miał się zjawić w obozach, wodza wyznaczyć i skuteczne środki do wyswobodzenia całej Polski przedsięwziąć, ale to pod zastrzeżeniem najściślejszej tajemnicy. Oto i wszystko. Ani razu komitet nie wezwał naród do broni, tylko na zapytania z prowincyi odpowiadał, że zbroić się trzeba, ale w jakim celu, nie mówił. Uczynić jakiś krok stanowczy przecho-

dziło siły komitetu, który bał się prusaków i wyczekiwał hasła albo z Berlina albo z Warszawy, co jak zaklęta uparcie milczała.

Tymczasem deputacya, złożona z arcybiskupa i paru zamożnych właścicieli ziemskich, którym jak najmniej chciało się rewolucyi, przyjeżdża do Berlina. Król ochłonął już z przerażenia, w jakie pogrążyła go rewolucya i trzymał się już mocniej w siodle, przemyśliwając jakby możliwie najwięcej z dawnego porządku uratować. Deputacya, rozejrzawszy się w Berlinie, przyszła do przekonania, że jest śmiesznem domagać się od króla pruskiego, aby się części swego państwa zrzekł i zgodził dobrowolnie na niepodległość Księstwa Poznańskiego. Postanowiono więc żądać od króla reorganizacyi Księstwa, t. j., mianowania polaka na naczelnego zarządcę Księstwa, wojska narodowego, wprowadzenia języka polskiego w szkole i w urzędzie. Król umyślnie z odpowiedzią długo zwlekał, i dopiero 25 marca deputacya otrzymała zapewnienie, że król na reorganizacyę się zgadza i w tym celu wyśle osobnego komisarza do Poznania. Na żądanie deputacyi komisarzem tym został jenerał Willisen, który w pewnem dziele o powstaniu polskiem z 1830—31 roku przychvlnie się o polakach wyrażał i ciągle dowodził, że Polska w interesie Prus powinna być odbudowaną. Za warunek przeprowadzenia reorganizacyi król stawiał przywrócenie porządku w Księstwie, to jest powrót wyrzuconych landratów i rozpuszczenie obozów.

Otrzymawszy przyzwolenie króla na reorganizacyę, deputacya zacierała ręce. Zdawało jej się, że ustępstwa papierowe króla wszystkich zadowolnić powinny. Zamożna szlachta z wyższem duchowieństwem, które zezem na powstanie patrzały, bo ruchawka wszelką władzę oddaje w ręce uzbrojonego ludu, łakomie już poglądały na te nowe posadki, które im się po usunięciu niemców i zaprowadzeniu polskich rządów w Księstwie pod zwierzchnictwem prusaków otwierały. Tym, którym się to niezbyt uśmiechało, wskazywano na wojsko narodowe, które prędzej lub później obróci się przeciw Moskwie i Polskę odbuduje.

D. 28 marca był nowem świętem dla Poznania. Na ten dzień zapowiedziano przyjazd Mierosławskiego. U rogatek zebrały się nieprzejrzane tłumy ludu, strzelcy i gwardya narodowa. Wśród okrzyków „Niech żyje nasz wódz zmartwychwstały!“ prowadzono go na rynek, gdzie zajaśniały ognie bengalskie. Ze schodów ratusza Mierosławski dziękował za serdeczne przyjęcie.

Z przyjazdem Mierosławskiego zdawało się, że sprawa rewolucyi weźmie stanowczą przewagę. Mierosławski, przywódca spiskowych z 1846 roku, mógł odrazu postawić powstanie na nogi. Niestety, za mało on wierzył w potęgę ruchawki i za bardzo dał się obałamucić prusakom, którzy ciągle o wojnie z Moskwą rozprawiali. Już to było jego wielką winą, iż zmitrężył dziewięć dni drogiego czasu, zabawiając się z ludem berlińskim i układając z ministrami i Willisenem plany przyszłej wojny z Moskwą. Komitetowi, który od czasu przyjazdu deputacyi z Berlina rewolucyę na kołku zawiesił i tylko o reorganizacyi marzył, Mierosławski, jako rewolucyonista, nie mógł się podobać. Zamierzono tu sobie innego wodza, spokojnego, sprowadzić. Odmówił

więc komitet Mierosławskiemu dowództwa nad wojskiem i zamianował tylko naczelnikiem wydziału wojskowego. Mierosławski, silny nieograniczonem zaufaniem ludu, zamiast komitet, co był tylko przeszkodą powstania, wywrócić, poddał mu się. Był to największy jego błąd. Oficerowie, po większej części szlachta poznańska, lekceważyli go sobie i słuchali nie jego, lecz komitetu rozkazów.

Deputacya poznańska wyprowadziła króla pruskiego z prawdziwego kłopotu. Obiecawszy reorganizacyę, której wykonanie miało nastąpić dopiero po rozbrojeniu obozów, król podwójnie zyskiwał. Rzucając kość niezgody pomiędzy polaków, był przekonany, że polacy prędzej lub później sami się rozbroją, a tymczasem zyskiwał czas na sprowadzenie wojsk do Księstwa, które miały poskromić polaków w razie, jeżeli się dobrowolnie nie rozbroją. Zyskiwał on nawet więcej. Dawał możność wszystkim wrogom powstania do skupienia się.

Już w pierwszych dniach kwietnia potulni dotychczas prusacy poczęli głowy podnosić. W księstwie zebrało się przeszło 30000 wojska przeważnie z pomorczyków, słynnych w całych Niemczech ze srogości i okrucieństw. Poznań ogłoszono na nowo w stanie oblężenia. Przy odgłosie bębnów wystąpiło na place publiczne 15000 wojska z działami dla okazania, że jest dostateczna siła dla zgniecenia polaków. Młódź, która się w stolicy w obrotach wojskowych ćwiczyła, rozpędzono. Zakazano wszelkich zgromadzeń i zbiegowisk. Prowincyę przebiegały t. zw. ruchome kolumny, oddziały wojsk, które dopuszczały się bezprzykładnych gwałtów. W Lesznie i Bydgoszczy, gdzie niemcy są w większości, zdzierano kokardy polskie. W Gnieźnie rozpędzono komitet. Pod Strzelnem zabito pewnego dzierżawcę zato, że zbroił lud. Pod Łabiszynem cały oddział wojska napadł na kilkunastu królewiaków i 3 na śmierć porąbał.

Pod ochroną wojska poczęli się też raźniej uwijać urzędnicy — niemcy. W Księstwie od 1831 roku rząd usuwał polaków z urzędów tak, że w krótkim czasie nawet najniższe posady zajmowali niemcy. Ci panowie oczywiście nie mogli sprzyjać powstaniu polskiemu. Już w samym początku ruchu w Poznańskiem, zwrócili oni baczne oko na chłopa polskiego, starając się weń wmówić, że szlachta chce pańszczyznę przywrócić. Ale chłop wielkopolski, bardziej oświecony od chłopa w Galicyi i w Królestwie, nie dał sobie takich koszałek powtarzać i biegł do obozów. Trzeba było szukać ratunku gdzieindziej. Jeszcze za czasów Polski niepodległej tłumy kolonistów, rzemieślników, drobnych fabrykantów i kupców niemieckich i żydowskich osiadały po rozmaitych prowincyach naszego kraju, ale najwięcej w Wielkopolsce. Jedni nawiedzali nas, szukając zarobku, inni chroniąc się do Polski przed uciskiem religijnym. Musiało im się dziać nieźle, kiedy się ich tyle namnożyło. Na odgłos rewolucyi berlińskiej i bratania się ludu berlińskiego z polakami, niemcy i żydzi zrazu okazywali przychylność sprawie polskiej. Ale trwało to tylko krótką chwilę. Postarali się o to urzędnicy i policya. Głosząc niestworzone rzeczy o okrucieństwach polaków i strasząc rewolucyą bogatych mieszczuchów, dokazali oni tyle, że w różnych miastach, gdzie niemcy i żydzi byli w większości, a zwłaszcza,

gdzie dużo było wojska, popowstawały komitety niemieckie, które ogłaszały światu, że mają na celu obronę zagrożonej przez polaków niemieckości. Jak wojsko uciekało się do gwałtów, tak znów mieszczaństwo niemiecko-żydowskie do spółki z policyą starało się w gazetach w najohydniejszy sposób polaków przedstawić i odebrać nam przychylność niemieckiego ludu. Najbłahszy zatarg między polakiem a niemcem wystawiano jako zbrodnię wołającą o pomstę do nieba. Zwłaszcza żydzi podnosili lament, jakby się Jerozolima powtórnie w gruzy zapadała.

Nareszcie 5 kwietnia przyjechał do Poznania długo oczekiwany komisarz królewski, jenerał Willisen. W odezwie zapowiedział, że Księstwo będzie miało władze i sądy polskie. Co do wojska polskiego oświadczył, że landwera, składająca się z żołnierzy obywateli, przez samo swe urządzenie jest wojskiem narodowem, a co do oznak i języka służbowego, wszystko da się ułożyć. Z komitetów polskich miały pozostać tylko te, które władza zatwierdzi. Obozom radził się rozejść, przyrzekając ułaskawienie.

Komitet, choć go ta odezwa nie bardzo powinna była zachwycać, czem prędzej wybrał tak zwaną komisyę reorganizacyjną, która miała z Willisenem układać się co do szczegółów reorganizacyi. Komisyi Willisen oświadczył, że przy reorganizacyi musi mieć także wzgląd na niemców i dla tego z pod rządu polskiego będą wyjęte powiaty, gdzie niemcy przeważają, że na czele tak uszczuplonego Księstwa stanie polak, że językiem urzędowym będzie polski, obiecywał i inne piękne rzeczy, ale pod warunkiem rozpuszczenia obozów. Wreszcie po długich targach zgodził się pozostawić 4 obozy we Wrześni, Książu, Miłosławiu i Pleszewie. Ilość żołnierzy w każdym nie mogła przenosić 600 pieszych i 120 konnych.

Dla ostatecznego dobicia targu zjeżdża Willisen 11 kwietnia do Jarosławca niedaleko Środy. W tem ostatniem mieście stało 2000 kosynierów, kilkudziesięciu strzelców i kilkadziesiąt jazdy pod dowództwem Brzeżańskiego. Dla poparcia układów jenerał Colomb, głównodowodzący wojskami pruskiemi w Poznańskiem, ściągnął pod Środę co najwięcej wojska. Czując swoją przewagę, chciał on nawet bez wszelkich układów na polaków uderzyć, ale Willisen, lepiej w myśl rządu działający, sprzeciwił się temu, bo obcesowa napaść mogła dużo krwi prusaków kosztować i raz nareszcie polaków do przytomności doprowadzić.

Zebrani w Jarosławcu oficerowie, powolni rozkazom komitetu, i widząc na razie niepodobieństwo walki z Colombem, zgodzili się na ugodę jarosławiecką, następstwem której było rozpuszczenie około 20.000 wojska polskiego. Polakom zostały 4 obozy z 3000 żołnierza.

Tak więc przyszło do tego, czego się król pruski spodziewał, że polacy sami siebie dobrowolnie rozbroili. W obozach lud zapałał słusznem oburzeniem na przewodników, co przez niedołęztwo i nierozum dali się królowi wywieść w pole i lud zbrojny, co krew swą chciał nieść w ofierze wolności kraju, bez boju wydali na łaskę i niełaskę prusaków. W Środzie kosynierzy, do najwyższego stopnia rozdrażnieni,

mało co nie rozsiekali Libelta i dopiero przemowy Essmana, chłopa, i Mierosławskiego uspokoiły tłumy.

Zawarłszy ugodę, Willisen postarał się o jej skrupulatne dopełnienie ze strony polaków, w czem zresztą nie doznał żadnej przeszkody w komitecie, któremu się zdawało, że ulegając we wszystkiem prusakom, doczeka się nareszcie reorganizacyi. Mimo przestróg Mierosławskiego, aby jak najwięcej wojska w obozach zostawić, pełnomocnik komitetu Stefański objeżdżał obozy i doglądał, aby liczba uzbrojonych nie przenosiła cyfry, przez prusaków naznaczonej. Tym sposobem kilkanaście tysięcy ludu rozeszło się na zawsze do domów. Komitet winszował sobie, że bez wielkiego trudu wycofał się z „głupiej awantury“.

Prusacy stali się teraz jeszcze natarczywsi i odważniejsi, mieli bowiem ogromną nad polakami przewagę. Obóz polski we Wrześni przepędzono do Nowego Miasta. Ludziom z obozów rozpuszczonym, którzy według ugody mieli prawo broń ze sobą zabierać, gwałtem odbierano kosy i strzelby. Landwerzystów aresztowano. Emigrantów z Królestwa, śpieszących w szeregi wojska powstańczego, więziono, aby ich później w ręce Moskwy oddać. Prześladowań dopuszczali się już nie tylko żołnierze pruscy, ale niemcy i żydzi. Nic więc dziwnego, że lud, ugodą jarosławiecką, którą nie ugodą, ale poddaniem słusznie nazywano, i gwałtami prusaków rozdrażniony, pobił żydów w Trzemesznie i Wrześni.

Niemcy podnieśli okropny gwałt. Willisen, którego sprytnego postępowania ludność niemiecko-żydowska nie rozumiała i nazywała zdrajcą narodu niemieckiego, skorzystał z tego i na zjeździe w Witaszycach, 17 kwietnia, zaproponował rozejście się obozów polskich po wsiach, co by rozbrojenie już i tak bardzo szczupłego wojska polskiego czyniło prostą zabawką. Komitet i na to się zgodził. Ledwo Mierosławski zdołał nową ugodę rozerwać.

Gdy tak polacy, przestrzegając warunków ugody jarosławieckiej, sami się rozbrajają, poczyna szydło z worka wychodzić. Wielkie obietnice królewskie maleją gwałtownie. Na wieść o mającej nastąpić w Księstwie reorganizacyi, niemcy i żydzi, gdzie tylko mają po swej stronie wojsko, domagają się oddzielenia różnych miast i powiatów od Księstwa. Jeszcze przed przyjazdem Willisena do Poznania miasto Międzyrzecz żąda przyłączenia go do Niemiec. Żydzi z Krotoszyna ze swoim landratem na czele domagają się połączenia ze Szląskiem. Władza bydgoska chce mieć wszystkie powiaty nad Notecią odłączone od Księstwa. Zebrania niemców w Poznaniu, Bydgoszczy i w Pile, przez policyę urządzone, domagają się wielkim głosem podziału Księstwa na część niemiecką i polską. Nareszcie i magistrat poznański miasto Poznań, kolebkę naszych dziejów, nazywa miastem czysto niemieckiem i prosi krola o wyłączenie go z reorganizacyi. Król, nibyto ulegając naciskowi swych wiernych niemców i żydów, oświadcza w odezwie 14 kwietnia, że Księstwo będzie na część polską i niemiecką podzielone, i że trzy czwarte księstwa będą do części niemieckiej zaliczone!

Tymczasem i wojsko pruskie nie próżnuje. Pułkownik Brandt zajął Śrem z 6500 żołnierzy i 7 działami, pilnując obozów w Książu i Nowem Mieście. Jenerał Blumen z 5000 wojskiem i 6 działami stał w Środzie, naprzeciw obozu w Miłosławiu. Obozu we Wrześni strzegła 11.000 dywizya jenerała Wedla w Gnieźnie z 6 działami. Od południa zagrażał obozowi w Pleszewie pułkownik Bonin, obozujący z 7000 żołnierza i 4 działami w Krotoszynie. Jenerał Colomb, mając tak przeważające siły, jeszcze nie był pewny zwycięstwa. Przed napadem na obozy wszedł w porozumienie z Moskwą. Jen. Read z 16000 armią otoczył granicę od Kalisza przez Słupce do Radziejowa. Garstka więc polaków, zaledwie 3000 wynosząca, bez dział, za cały oręż mając przeważnie tylko kosy, zagrożoną została od północy, zachodu i południa przez prusaków, od wschodu przez moskali. Silne załogi Poznania i Bydgoszczy miały nadto trzymać w postrachu ludność na prowincyi i tamować wszelkie wybuchy powstańcze.

Tak się ubezpieczywszy, Colomb 26 kwietnia ogłasza ugodę jarosławiecką za nieistniejącą i postanawia uderzyć na obozy polskie. Przed zerwaniem papierowej ugody prusacy zajęli Gostyń, Koźmin, wypędzili polaków z Odolanowa i Raczkowa, miejscowości, w których stosownie do ugody stały małe oddziałki polskie.

Te gwałtowne napady prusaków z zupełnem pomiataniem ugody poruszyły do głębi obozy. Deputacya za deputacyą posypały się do Mierosławskiego, domagając się boju z prusakami. Mówiono, że prusacy coraz bardziej obozy obsaczają, że je głodem bez boju wezmą, skarżono się na brak broni i prochu, wyrzucano oficerom zbytnią uległość dla prusaków. Mierosławski odparł, że on sam pragnie boju, ale nie będąc dowódcą nad wojskiem przez niechęć komitetu, nie jest wcale słuchanym przez oficerów obozowych, stojących pod rozkazami komitetu. Zgodzono się powszechnie, że cała wina pada na komitet, który przez swe mazgajstwo, jeżeli nie zdradę, do tak smutnego stanu rzeczy doprowadził. Postanowiono więc wysłać Essmana do Poznania dla rozpędzenia komitetu na cztery wiatry, wysłać moabitów (dawnych spiskowców z więzienia Moabit) na prowincyę dla poruszenia ludu i bić się nieodwołalnie z prusakami.

Komitet tymczasem przed wstąpieniem do grobu swe czyny niedołężne nowem przypieczętował tchórzostwem. 25 kwietnia na posiedzeniu komitetu zjawiła się deputacya z zamożnych mieszczuchów poznańskich i doradzała komitetowi, aby zawezwał obozy do złożenia broni. Komitet nie dał sobie dwa razy tego powtarzać. Większość uchwaliła złożenie broni i wysłała deputacyę do obozów. Tu kazano jednak nieproszonym gościom śpiesznie umykać. Walka z prusakami miała się zacząć.

Wynik tej walki rozpaczliwej był do przewidzenia. O zupełnem powodzeniu nie mogło być mowy. Siły nieprzyjaciół były za nadto przeważające. Nieufność i obawa wkradły się do obozów z powodu długiej bezczynności i niekorzystania z najdogodniejszych chwil. Poza obozami trudno się było spodziewać pomocy, bo zabiegi umierającego komitetu i zamożnej szlachty dążyły do zaprzestania wszelkiej, jak

mówiono, daremnej walki. Jeżeli, mimo to, polacy odnieśli dwa świetne zwycięstwa, to przypisać to należy niezrównanemu męstwu i poświęceniu chłopa i rzemieślnika polskiego.

29 kwietnia Brandt ze Śremu uderzył na Książ. Posiłki z obozu nowo-miejskiego przyszły za późno. 800 wiarusów, z których 80 zaledwie strzelców, przez sześć godzin wytrzymywało atak ośm razy silniejszego nieprzyjaciela, który tylko dzięki swym armatom mógł się zwycięstwem poszczycić. W bohaterskiej obronie Książa był dowódzcą Floryan Dąbrowski. Prusacy, zdobywszy mieścinę, wpadli jak dzicz i sprawili okrutną rzeź. Przeszło 100 polaków padło ofiarą rozbestwionego żołdactwa.

30 kwietnia pozostałe trzy obozy polskie połączyły się w Miłosławiu, który zaatakował Blumen. Po kilkogodzinnym boju polacy rozgromili prusaków. Zwycięstwo byłoby zupełne, gdyby oficerowie, po większej części szlachta wielkopolska, nie opuścili szeregów, uniemożliwiając wszelki pościg za nieprzyjacielem.

Rozpaczliwa obrona Książa i zwycięstwo pod Miłosławiem rzuciło popłoch wśród prusaków. Brandt i Blumen, zamiast się połączyć z Wedlem, postanowili wypocząć sobie przed nowym atakiem. Skutkiem tego, Wedel sam tylko z częścią swego wojska zmuszony był uderzyć na polaków, którzy z Miłosławia 2 maja udali się pod Wrześnię. Tu po raz drugi kosynierzy i strzelcy dali dowód niezwykłego męstwa. Polacy odnieśli stanowcze zwycięstwo. Wedel cofnął się do Gniezna.

Ale było to też ostatniem zwycięstwem. Od bitwy pod Wrześnią rozpoczyna się rozsypka. Dała jej początek jazda szlachecka, która uważała, że dość krwi przelanej i honorowi narodowemu stało się zadość. Śpiesząc do domów pociągała za sobą i chłopów. Ciągle malejące wojsko polskie, po długim i niebezpiecznym pochodzie wśród nieprzyjaciół, 9 maja ostatecznie rozeszło się pod Murzynowem.

Zwycięstwo miłosławskie poruszyło lud w różnych okolicach Księstwa. Koło Stęszewa, Zaniemyśla, Obornik, Murowanej Gośliny i Kcyni powstały oddziały z mieszczan i chłopów złożone. Prowadziły one walkę ze zmiennem szczęściem z prusakami. Na wieść o rozsypce głównej armii, rozprysły się i one. W połowie maja powstanie wielkopolskie upadło. Księstwo oczywiście reorganizacyi się nie doczekało.

Powstanie poznańskie było pierwszem powstaniem ludu polskiego. Przez długie wieki w niewoli i ciemnocie trzymany, na duszy i ciele podupadły, lud patrzał obojętnie na burze, które nad naszym krajem szalały. W Poznańskiem wcześniej, niż gdzieindziej, usamowolniony, wcześniej też lud odrodził się i odczuł haniebną niewolę, w jaką kraj nasz pogrążyli najezdnicy. Na hasło rewolucyi berlińskiej stanął on gromadnie pod sztandarem wolności i niepodległości kraju. Jeżeli ruch upadł, nie jego było winą. Pola Książa, Miłosławia i Wrześni w potomne wieki chlubnie zaświadczą o jego patryotyzmie, wytrwałości i męstwie. Odradzający się i o lepszą przyszłość walczący lud polski z dumą spoglądać może na ten pierwszy swój chrzest.

Jan Wierzba.

NASZA BROŃ KLASOWA

Któż zdoła wstrzymać strumień w biegu?
Czyż jest na świecie taka dłoń?!

W powyższych wierszach, wyjętych ze znanej pieśni robotniczej, ruch robotniczy przyrównany jest do bystrego strumienia. Porównanie to jest słuszne w początkach tego ruchu w każdym kraju: jak strumień, spadający z jednego ostrego kamienia na drugi, pieni się i kłębi, tak ruch robotniczy, ściśnięty ze wszystkich stron gorszemi od ostrych kamieni przeszkodami: ciemnotą, potwarzą, prześladowaniem, rozwija się z początku i rośnie i idzie naprzód w burzliwych rzutach. Teraz już jednak prawie wszędzie ruch klasowy proletaryatu daje się raczej porównać do wielkiej rzeki; wypłynął na równiejsze koryto, którem po naturalnej pochyłości zmierza pewnie do jasno widocznego celu. Z boków wpadają do rzeki różne potoki; tak do ruchu robotniczego z różnych stron przystają różni nowo-nawróceni. Rzeka staje się coraz szersza, coraz głębsza, i płynie naprzód z nieodpartą siłą, choćby nad nią nie wiem jakie wichry i burze szalały. Nie wyschnie, żeby nawet najgoręcej piekło słońce. Niech by nie wiem jakie tamy próbowano sypać na jej drodze, ona spokojnie, a niechybnie, każdą podmyje, zepchnie, w swych falach utopi — i pójdzie dalej, naprzód, rozlewając się coraz szerzej.

Takim jest dzisiaj na całym świecie olbrzymi ruch ludu robotniczego. Gdy na wielką rzekę spojrzysz, będziesz widział jedną jasną, srebrną wstęgę, ale pod tą równą powierzchnią dno jest nie wszędzie jednakowe; tu skaliste, ówdzie piaszczyste, brzegi w jednem miejscu ciasne, nierówne, poszarpane, gdzieindziej proste i szerokie; — więc też i woda nie wszędzie płynie jednakowo, tylko różnie wiruje, zbacza, to podmywa się cicho pod zapory, to bije o nie mocno falami. Tak i ruch robotniczy; gdy myśleć o nim wogóle, to wszędzie jest jednakowy na całym świecie, wszędzie lud pracujący najemny, wyzyskiwany przez kapitalistów, uciskany przez rządy, domaga się swych praw ludzkich, dobrobytu, równości i swobody. Ale że w tem swojem dążeniu różne spotyka przeszkody i różnych nieprzyjaciół, więc musi przeciw nim rozmaitych używać sposobów, rozmaitej broni. Z tego później czasem pochodzi, że ludzie zaślepieni i nierozumni powiadają ludowi pracującemu: używaj tylko tego sposobu na wrogów, wszystkie inne są nic nie warte. Otóż zobaczmy właśnie, jakich to różnych sposobów używa i używać musi w swojej walce klasa robotnicza, i jak wszystkie te sposoby prowadzą do jednego wielkiego celu: wyzwolenia siebie i całego społeczeństwa z jarzma kapitalizmu.

Od czego zacząć musi każdy robotnik? Co go najpierwej i najbliżej dotyka? Oto — jego zarobek i czas jego pracy, długość dnia roboczego.

Kapitalista wynajmuje robotnika po to, aby mieć zysk z jego pracy. Z wartości całego wytworu tej pracy, z pieniędzy, które za wytworzone przez robotników towary dostaje lub dostać może,

kapitalista najpierw zwraca sobie swoje koszty (za surowe materyały, maszyny itd.), a potem, z czystego zysku, który także przecie powstał wyłącznie z pracy robotników, oddaje im drobną część, a sobie większą zachowuje. Innemi słowy znaczy to, że do robotnika wraca wartość tylko pewnej części jego wytworu, tylko pewna część czasu jego pracy w ciągu dnia jest mu zapłacona; drugą część pracuje on bezpłatnie dla kapitalisty. Dlatego to, im mniejsza jest zapłata robotnika i im dłużej pracuje on codzień, i im więcej dni w roku zajęte jest na pracę, tem większy jest zysk kapitalisty. Dlatego kapitaliści starają się wszelkiemi siłami zmniejszać zapłatę i przedłużać czas pracy, nie tylko wprost, ale i za pomocą różnych sztuczek: wytrącania za karę, kradzenia składek na różne kasy pomocy, roboty na sztukę, zatrzymywania zegarów, odmawiania przerwy na jedzenie itp. To jest ich interes.

Ale interes robotnika jest właśnie zupełnie przeciwny. Robotnik żyje tylko z pracy swoich rąk, więc musi chcieć jak największego zarobku. A ponieważ trzeba, żeby mu siły tych rąk starczyło na jak najdłużej, na całe życie, więc nie może się zgodzić na to, żeby go długa praca codzienna prędko niszczyła, więc musi domagać się skrócenia czasu pracy, przedłużenia odpoczynku.

Więc najpierwszy przeciwnik robotnika jest to wynajmujący go kapitalista. Gdy robotnik budzić się zaczyna z uśpienia i rozumieć swoje najbliższe interesy, to te interesy odrazu muszą być przeciwne interesom kapitalisty. Kapitalista dobrowolnie od swoich interesów nie odstępuje. Gdy pojedyńczy robotnik przychodzi do niego i oświadcza, że chce mieć większą zapłatę i krótszą pracę, to mu niechybnie powie, żeby sobie szukał gdzieindziej roboty. Więc nauczony doświadczeniem robotnik widzi, że jedyny sposób jest wystąpić razem z towarzyszami. Z czego czerpie dochody kapitalista? Z pracy robotniczej, z niczego więcej. Gdy zatem wszyscy robotnicy odmawiają mu tej pracy, traci źródło swych dochodów, co jest dla niego najdotkliwszym ciosem.

Zatem bezrobocie zbiorowe, s t r e j k, jest pierwszą, naturalną bronią robotników przeciw kapitaliście.

Kapitalista rzadko poddaje się odrazu. Wie on, po pierwsze, że prawie zawsze jest dużo robotników danego fachu, nie mogących znaleść roboty, więc stara się o takich, którzy by zastąpili strejkujących; jest to jeden więcej powód, dla którego robotnicy muszą żądać skrócenia dnia roboczego, bo przy krótszym dniu roboczym więcej robotników znajdowałoby pracę, i mniej byłoby gotowych do zajęcia cudzego miejsca. Powtóre, kapitalista ma uzbierane kapitały i ma kredyt, więc może czekać, a gdy robotnicy nie mają oszczędności, to rychło z głodu muszą ustąpić. Stąd wypływa konieczność drugiej broni, bez której strejk nie może się powieść: o r g a n i z a c y i, s t o w a r z y s z e n i a r o b o t n i c z e g o, które by stale zbierało pieniądze na wypadek bezrobocia, a kiedy już strejk wybuchnie, to utrzymywało robotników w zgodzie i łączności. Gdy istnieje taka organizacya, dająca robotnikom siłę, to nieraz bez strejku się obchodzi, bo kapitalista, czując, że robotnicy mogą wygrać, woli się na strejk nie narażać i ustępuje

Dlatego to kapitaliści bardzo wrogo są usposobieni dla wszelkiej organizacyi robotniczej : każde stowarzyszenie robotnicze jest groźbą dla ich zysków, jest podporą żądań robotniczych. Wszelkiemi więc siłami kapitaliści starają się zapobiedz tworzeniu się stowarzyszeń, i nieraz pod pierwszym lepszym pozorem oddalają ze swych fabryk ich założycieli i czynniejszych członków. Z drugiej strony, choć wogóle kapitaliści są z sobą w ciągłej konkurencyi, ale w tej sprawie, ponieważ chodzi o ich wspólny interes, pomagają sobie nawzajem ; robotnicy, wyrzuceni przez jednego za śmiałość swych żądań lub organizowanie towarzyszy, zwykle nie znajdują roboty u żadnego innego. Czemże muszą na to odpowiadać robotnicy? Oto przedewszystkiem muszą rozszerzać swoje stowarzyszenia ; zamiast stowarzyszania się w jednej tylko fabryce lub w jednem mieście, łączą się w wielkie stowarzyszenia zawodowe, zwane też (z angielska) trade unionami lub (z francuska) syndykatami, obejmujące cały jakiś zawód w pewnym kraju. W ten sposób, gdy w jednej fabryce lub w jednem mieście strejkują, to towarzysze zorganizowani z całego kraju pomagają strejkującym pieniężnie, aby później, gdy ci zwyciężą, tem łatwiej otrzymać i dla siebie takie same ustępstwa. Czasem też, gdy inni fabrykanci pomagają temu, u którego jest strejk, wykonywują jego obstalunki np., (choć to się zdarza rzadziej), wszyscy robotnicy całej gałęzi przemysłu rozpoczynają strejk, aby wymusić ustępstwo. Ponieważ wreszcie fabrykanci z różnych gałęzi przemysłu pomagają sobie czasem nawzajem, udzielając kredytu, a z zagranicy sprowadzają robotników na miejsce strejkujących, więc żeby jednemu i drugiemu zapobiedz, stowarzyszenia robotnicze różnych zawodow w jednym kraju, lub jednego zawodu w różnych krajach, łączą się z sobą w wielkie związki, wydają pisma, odbywają zjazdy i wogóle postępują za wspólną zgodą. W ten sposób setki tysięcy, ba! miliony robotników są stowarzyszone w Anglii, Francyi, Niemczech, Ameryce itd., i mają naturalnie daleko więcej widoków przeprowadzenia swych żądań, niż robotnicy, chodzący samopas.

Silnie zorganizowani robotnicy mogą używać przeciw swym wrogom jeszcze jednej broni : b o j k o t u. Bojkot polega na tem, że gdy kapitalista jakiś opiera się słusznym żądaniom swoich robotników, nie dotrzymuje zobowiązań, lub czyni im jakąś krzywdę, np. wydala lub denuncyuje, wtedy zostaje jakby wyklęty : nie wolno żadnemu robotnikowi przyjąć pracy u niego, ani u innych fabrykantów, którzy utrzymują z nim handlowe stosunki, nie wolno nabywać ich towarów. Bojkot jest szczególnie skuteczny na takich fabrykantów, którzy wytwarzają przedmioty zwykłego spożycia, i najczęściej bywa używany przeciw fabrykantom piwa; bo wtedy robotnicy, którzy, jako najliczniejsza klasa ludności, stanowią też masę spożywców, mogą naprawdę dotkliwie się dać we znaki restauratorom itp., którzy sprzedają zbojkotowane piwo, i zmusić fabrykanta do ustępstwa, jak to bywało szczególniej w Berlinie.

Wreszcie, czem ostatecznie zwykle kapitalista zwycięża robotnika? Głodem. Mając to na myśli, w niektórych krajacb, szczególniej w Belgii, robotnicy pozakładali własne s t o w a r z y s z e n i a w s p ó ł -

dzielcze, (czyli kooperatywy), w których sami wyrabiają chleb i sprzedają go wraz z innymi przedmiotami pierwszej potrzeby po cenie kosztu, a nawet rozdają darmo w czasie strejków, co jest dla strejkujących ogromną pomocą. W tych stowarzyszeniach, gdzie niema kapitalisty, robotnicy zaprawiają się też do zarządzania sami przedsiębiorstwami przemysłowemi, jak to będą czynili w czasie, kiedy już wywłaszczą kapitalistów i obejmą cały przemysł na własność całego narodu. Czasem też bywają zakładane stowarzyszenia współdzielcze i w innych gałęziach, nietylko do wytwarzania przedmiotów pierwszej potrzeby, a to szczególniej wtedy, gdy po nieudanym strejku kapitalista większą ilość robotników przez zemstę na bruk wyrzuca i trzeba im znaleść sobie środek do życia; ale tym jest daleko trudniej się utrzymać, gdyż wymagają wielkiego nakładu, a inni kapitaliści odmawiają im kredytu i utrudniają zbyt towarów. Z chlebem i innymi wytworami pierwszej potrzeby jest inaczej: sami robotnicy je zaraz rozkupują, tembardziej, gdy są tańsze, niż gdzieindziej.

Taka jest broń robotnicza w walce ekonomicznej. Broń różnorodna, ale służy wszystka do jednego i tego samego celu: do zdobywania od kapitalistów lepszej płacy, krótszej pracy i bardziej ludzkich warunków przy robocie.

Chodzi teraz o to, czy ta broń ekonomiczna jest wystarczająca. Każdy zrozumie, że nie.

Kapitalista czuje, że robotnik prędzej czy później okaże niezadowolenie ze swego położenia i zagrozi jego zyskom; dlatego zapewnia sobie z góry przeciw robotnikowi siłę państwową, przymus polityczny. Z początku ten przymus występuje zaraz w pierwszej chwili walki: robotnikom nie wolno zbiorowo zaprzestawać pracy i stowarzyszać się. Tak było dawniej we wszystkich krajach; tak jest dotychczas pod panowaniem carskiem. Strejk i stowarzyszenie są zakazane i prześladowane surowo przez władzę: przez policyę i sądy. Gdzie taki zakaz panuje, tam naturalnie ani mowy być nie może i o innych sposobach walki ekonomicznej, o stowarzyszeniach na wielką skalę, o stowarzyszeniach współdzielczych, o kasach zapomogowych itd., wszystko zależy od brutalnego rządu, który popiera interesy kapitalistów. A w takich warunkach od pierwszej chwili robotnik poza cofającym się kapitalistą spostrzega bagnety i nahajkę, spostrzega cały ucisk rządu. I wtedy najpierwszą dla niego rzeczą, bez której nie może uzyskać żadnego większego i trwalszego polepszenia swojego bytu, jest walka polityczna przeciw uciskowi rządowemu, jest wywalczenie pierwszych swobód politycznych: swobody strejkowania, swobody stowarzyszeń, swobody druku i słowa, bez których organizacya na wielką skalę jest niemożliwa. A w tym celu, do tej walki, robotnicy wszystkich zawodów muszą organizować się tajnie w jedną partyę robotniczą, prowadzić tajną propagandę zasad rewolucyjnych i używać wszelkich środków do zmniejszenia swego wyzysku i obalenia ucisku. Tak czynili robotnicy w innych krajach np. w Anglii i we Francyi, aż otrzymali swe pierwsze, niezbędne swobody.

Ale tu się walka polityczna nie kończy. I w krajach, gdzie już te swobody istnieją, kapitaliści umieją zużytkować siłę państwową na swoją korzyść. W krajach tych rządzi nie jeden człowiek lub garść urzędników, jak w Rosyi, ale p r a w a : otóż kapitaliści starają się o to, aby sami te prawa wydawali i sami czuwali nad ich wykonywaniem. W ten sposób w krajach nawet najwolniejszych istnieje cały szereg praw, ochraniających interesy kapitalistów, a sądy, obsadzone przez sługi kapitalistycznego porządku, dotkliwie karzą za pomocą różnych kruczków tych, co urządzają strejki lub bojkoty (pod pozorem, że odmawiają innych od roboty, lub szkodzą czyimś interesom), rozwiązują syndykaty, okładają karami pieniężnemi stowarzyszenia współdzielcze i ubogie pisma robotnicze, a w razie potrzeby i tam wojsko i policya, nie bojąc się kary, strzelać do strejkujących potrafi. Przytem kapitaliści tam łączą się coraz bardziej ze sobą i wspomagają nawzajem, a przez to, siłą swoich pieniędzy i pod opieką prawa, uzyskują w końcu zawsze przewagę nad robotnikami w walce ekonomicznej. Robotnicy, nawet najlepiej zorganizowani, mają zawsze mniej pieniędzy od kapitalistów i krócej mogą wytrzymać, a to tembardziej, że mają okropną kulę u nogi : coraz większą ilość pozbawionych i szukających pracy, którzy pod groźbą głodu ofiarują się na ich miejsce. Dlatego to największe strejki, podtrzymywane gorąco przez całą klasę robotniczą całego kraju, ba! nawet całego świata, jak np. przed 2 laty strejk hutników w Karmo, we Francyi, lub niedawny wielki strejk mechaników w Anglii, nie udają się, rozbijają o upór kapitalistów, których nikt zmusić nie może. Tak samo nikt ich zmusić nie może, aby wszyscy zaprowadzili lepsze urządzenia zdrowotne, nie gubili przedwczesną i niezdrową pracą dzieci i kobiet, nie oszukiwali w fabrycznych sklepikach, zostawiali dzieciom czas na naukę itd.

Na czem polega więc sekret panowania kapitalistów? Na tem, że ustanawiają prawa i mają w swoich rękach władzę, która je wykonywa. Dlaczego ustanawiają oni prawa i mają władzę wykonawczą? Dlatego, że wybierają swoich przedstawicieli do izb prawodawczych. Lecz przytem opierać się muszą na większości, występować w imieniu większości. Większość zaś w każdym kraju stanowią robotnicy, stanowi lud wyzyskiwany.

Jedynym tedy sposobem zwyciężenia kapitalistów, którzy ostatecznie w walce czysto ekonomicznej będą zawsze mocniejsi, jest dla robotników — wziąć w swoje ręce, w ręce prawdziwej większości, ustanawianie praw i władzę państwową. Tam, gdzie lud nie ma jeszcze zupełnych, równych praw wyborczych, tam musi się o nie dobijać przedewszystkiem, wszelkiemi siłami; tam, gdzie prawa wyborcze już posiada, wybierać na przedstawicieli, czy to do rad miejskich, czy to do sejmów prowincyonalnych, czy do parlamentów, — obrońców swoich własnych klasowych interesów, s o c y a l i s t ó w. Im więcej socyalistów w parlamencie, tem rząd mniej ma odwagi przychodzić z pomocą państwową kapitalistom, gdy ci opierają się żądaniom robotników, — tem większy wpływ ruchu robotniczego na całe życie społeczne, tem bliższa rewolucya socyalistyczna.

Oczywiście, że ta walka polityczna nietylko nie czyni niepotrzebną organizacyi i walki ekonomicznej, ale całkiem przeciwnie; tylko tam, gdzie wyzyskane są jednocześnie wszystkie środki walki ekonomicznej, na jakie pozwalają prawa danego kraju, ruch polityczny będzie też silny, głęboki i skuteczny. Walka polityczna bez ekonomicznej, ani ekonomiczna bez politycznej, nie mogą być pomyślne, bo są to tylko dwa sposoby walczenia o jedną i tę samą rzecz: o wyzwolenie całkowite ludu pracującego.

Czemuż jednak, skoro lud ten wszędzie stanowi większość ogromną, dotąd nie zrzucił on swego jarzma? Bo klasa kapitalistów, czując i to, że siła państwowa sama przez się nie będzie zawsze zastraszać klasy robotniczej, postarała się o inną jeszcze siłę: oprócz żandarmów, prawodawców i sędziów, wzięła sobie na usługi uczonych, pisarzy, kaznodziejów. Ci wmawiają nieustannie w robotników, że kapitaliści to ich dobrodzieje, że własność — jest święta, że przeznaczeniem ubogich na ziemi jest cierpieć z pokorą, a nagroda zato spotka ich dopiero w niebie. Aby jak najdłużej wyzyskiwać robotników i módz spokojnie panować nad nimi, klasa kapitalistyczna albo stara się utrzymywać ich w zupełnej ciemnocie, albo karmi ich taką po swojemu sfałszowaną wiedzą. W tej sfałszowanej wiedzy, nie lepszej od ciemnoty, jest największy sekret panowania kapitalistów nad robotnikami; a jedynym na nią środkiem jest — także wiedza, — wiedza, rozumiejąca potrzeby i prawa proletaryatu i naukowo uzasadniająca ich słuszność. Pamiętajmy, że ona jest najgłówniejszym naszym orężem w walce z kapitalizmem, bo ona wskazuje nam sposób używania różnorodnej broni ekonomicznej i politycznej; zdobywajmy ją sami i nieśmy ją towarzyszom, bo nic prawdziwszego nad okrzyk Liebknechta:

Wiedza — to potęga!

M. Luśnia.

PAŃSTWO JEZUITÓW W PARAGWAJU

W skutek coraz większego wzrostu socyalizmu, duchowieństwo stara się też od pewnego czasu zająć sprawą robotniczą, by z jednej strony nie utracić swego wpływu na masy ludu pracującego, a po drugie sprobować, czy nie uda się mu odciągnąć tych mas od socyalizmu. Dlatego to papież obecny Leon XIII kazał się nazwać „papieżem robotników“; dla tego mamy kilka encyklik papieskich w kwestyi robotniczej; dlatego słyszymy teraz coraz częściej o socyalizmie chrześciańskim; dlatego też wreszcie jezuici polscy w Galicyi zabrali się tak energicznie do zakładania „chrześciańskich“ stowarzyszeń robotniczych. Ciekawem więc będzie poznać ten nowy raj, do którego księża chcą ludzkość poprowadzić.

Próbę tego raju mamy już w historyi. Było nią państwo jezuickie w Paragwaju. Zapoznać się z tem państwem warto po pierwsze dla tego, że było ono największą próbą tego rodzaju, jaką znamy z historyi.

oraz jeszcze i z tego względu, że przeciwnicy socyalizmu przedstawiali je niejednokrotnie, jako państwo socyalistyczne.

Paragwaj został zdobyty przez hiszpanów w 1536 r. Kraj ten, położony w Południowej Ameryce, graniczy z Brazylią, a nazywa się imieniem rzeki, która go przepływa. Ludność, którą tam hiszpanie zastali, należała do szczepu guarani. Prowadziła ona życie do pewnego stopnia koczownicze, trudniąc się : myśliwstwem, rybołówstwem i wojną. Jednak i rolnictwo nie było im obce. Na wybrzeżach rzek, na skraju lasów, były osady ludności rolniczej. Cały szczep guarani odznaczał się większym rozwojem umysłowym, niż inne plemiona dzikie zamieszkujące Południową Amerykę.

Zarówno hiszpanie, którzy zdobyli Paragwaj, jak i portugalczycy, zajmujący sąsiednią Brazylię, podbili te kraje ma się rozumieć nie dlatego, by, jak głosili, nieść tam oświatę i cywilizacyę, lecz jedynie dla zrabowania tych krajów i zaprzęgnięcia ludności tubylczej w jarzmo niewoli i poddaństwa.

Historya podboju Południowej Ameryki zapisana jest krwią masowo pomordowanych ludów tubylczych. Ze zgrozą czyta się o tych polowaniach psami na dziką ludność!... Trzeba przytem pamiętać, że cywilizacyę tego rodzaju uprawiały państwa najbardziej katolickie jak : Hiszpania i Portugalia Ci cywilizatorowie chrześciańscy uspakajali swe sumienie przekonaniem, że indyanie nie są ludźmi, lecz czemś pośredniem między człowiekiem a zwierzęciem. Franciszek Ortiz, biskup z Santa Marta, pisze do króla hiszpańskiego, „że na zasadzie swego długiego obcowania z indyanami uważa ich za stworzenia całkiem bezrozumne, niezdolne pojąć religii katolickiej i zastosować się do jej przepisów“. Takie zdania dygnitarza kościelnego mogły tylko ośmielić rozpasanych najezdników. Brnęli więc dalej w krwi bezbronnych indyan.

Przyszedł jednak czas, że najezdcy lepiej zrozumieli swój interes. Przestano indyan tępić, (jak w Peru, gdzie całą ludność tubylczą wymordowano), lecz postanowiono ich ujarzmić zakuć w poddaństwo ekonomiczne. Wziętych na wojnie indyan już nie zabijano, jak przedtem, lecz tworzono z nich kolonie.

Kolonie zaś te oddawano w nagrodę zasłużonym w walce z indyanami hiszpanom. Ustrój tych kolonii podobnym był do pańszczyzny w Europie. Nowy stan rzeczy był daleko korzystniejszy zarówno dla całej masy różnych awanturników, którym za ich „zasługi“ oddawano na własność kolonię wraz z ludźmi, jak i dla rządu hiszpańskiego, którego dochody również się zwiększyły.

W drugiej połowie XVI w. gubernator Paragwaju, chcąc zasłużyć na szczególne uznanie swego rządu, zapragnął dzieło „cywilizacyi“ ludności guarani przyśpieszyć. Wpadł więc na dowcipny pomysł wydania prawa, które pozwalało prywatnym ludziom na własną rękę zakładać takie osady, brać sobie indyan w poddaństwo i korzystać z ich pańszczyźnianej pracy. Dopiero ze śmiercią założyciela mieszkańcy osady pozbywali się poddaństwa; — przywracano im wolność, i obowiązani byli wtedy już tylko płacić podatki do rządu.

Od tego czasu rozpoczyna się polowanie na koczowniczą ludność Paragwaju. Rozpoczynają się na nowo niesłychane okrucieństwa. Zabijano dzieci, uprowadzano kobiety, mordowano i palono całe osady dzikich...

Prześladowane zewsząd rody koczownicze uciekały coraz głębiej w lasy przed chrześciańskimi cywilizatorami, jak przed zarazą; i ci mimo największych wysiłków nie zdołali założyć więcej niż 40 kolonii.

Jezuici przybyli do Paragwaju w końcu XVI wieku, gdy prześladowania indyan doszły do szczytu. Stali się oni zaraz obrońcami i opiekunami dzikich. Otwarcie i bezwzględnie krytykowali sposób postępowania hiszpanów, oskarżali ich o przekraczanie rozkazów królewskich i uczynienie z mieszkańców kolonii niewolników, pozbawionych swobody i przeciążonych pracą, w skutek czego mieszkańcy ci ginęli masami. Oświadczali, że ten sposób postępowania utrudnia i opóźnia nawrócenie na religię katolicką i przyzwyczajanie do życia cywilizowanego indyan, których przeraża samo imię hiszpana.

W skutek ostrego i bezwzględnego wystąpienia jezuitów na korzyść indyan narazili się oni na nieprzyjaźń i niezadowolenie wszystkich emigrantów europejskich.

Ci ostatni zabronili nawet jezuitom wstępowania do swoich wsi, odmawiano im pożywienia, nawet gdy się znajdowali w największej potrzebie.

Ale jezuici, trzeba to przyznać, byli wytrwali. Uczyli się oni języka guarańskiego (czego jeszcze przedtem żaden duchowny nie czynił) i szli do lasów, gdzie żyli zbiegli z osad guarani, lub rody prowadzące życie koczownicze; żyli z dzikimi, i ci poznawszy w nich swych przyjaciół i obrońców, przyjmowali ich z otwartemi rękami. Pierwsi misyonarze jezuici, Mazeta i Cataldino, żyli w lasach razem z dzikimi i doradzali im, aby wszyscy oni połączyli się razem, a wtedy będą w stanie oprzeć się swym ciemięzcom. Jednem słowem, dla pozyskania sobie dzikich paragwajczyków jezuici musieli na razie stanąć otwarcie w ich obronie.

Ale jezuici używali i innych środków dla przyciągnięcia do siebie indyan. Obdarzali oni kacyków i dowódzców podarkami, lub zjednywali ich różnemi przyrzeczeniami i obietnicami, albo wreszcie działali na nich groźbą i strachem. Jezuicki historyk Charlevoix pisze o pewnym kacyku, który nie chciał słuchać jezuitów i srogo został za to ukarany — „spalił się on żywcem w swej chałupie“. Prawdopodobnie jezuici wprzód go upoili, a potem dom podpalili, bo nie podobna, aby zdrowy i zręczny dziki nie zdołał uciec przed pożarem. Takie i tym podobne wypadki jezuici przedstawiali dzikim, jako karę boską za nieposłuszeństwo. Wreszcie jezuici urządzali różne zręczne sztuki kuglarskie i przedstawiali je jako cuda boskie.

Zapanowali oni nad umysłami dzikich, a wkrótce przemogli niezadowolonych z propagandy jezuickiej kolonistów hiszpańskich. Zobaczymy teraz, jak korzystali oni ze swego nowego położenia.

Przedewszystkiem zabrali się całkiem seryo i energicznie do odzwyczajania indyan od życia koczowniczego, zakładając nowe osady

lub umieszczając ich w już założonych; przyzwyczajali ich do stałej pracy gospodarskiej i wreszcie wpajali w nich religię katolicką. Od 1610—1768 r. założyli oni i rządzili 30 osadami, które w czasie wydalenia jezuitów z Paragwaju liczyły około 150.000 mieszkańców. W osadzie św. Franciszka Ksawerego mieszkało 30.000, w innych od 500 do 1.000 ludzi.

Historyk państwa jezuickiego, Azara, pisze, że rezultaty pierwszych lat panowania jezuitów nie należy przypisywać ich sztuce przekonywania lub sile słów apostolskich. Według jego zdania głównie wpłynął ten wzgląd, że w tych latach w sąsiednich krajach portugalczycy w najstraszliwszy sposób maltretowali indyan. Nieszczęśliwi uciekali w lasy między rzeki Parana i Urugwaj, do których „cywilizowani“ zbrodniarze tylko z trudnością dostać się mogli. Błąkając się w małych grupach przybliżali się do osad jezuickich, gdzie ich przyjmowano, ofiarowując pokarm. Gdy zaś prześladowania indyan nieco ustały, wtedy dzicy i od jezuitów stronić zaczęli Ci zaś oprócz obietnic i przekupstwa kacyków, zaczęli się teraz chwytać i brutalnych środków. I tak jeśli chciano jakiś ród ujarzmić, posyłano mu przez wytresowanych tubylców podarki z prośbą, by ród pozwolił zamieszkać u siebie jednemu z wielebnych ojców. Gdy się na to zgodzono, zjeżdżał jezuita ze swymi przybocznymi, propagował dzikich, a swoją drużynę tymczasem stopniowo a ostrożnie powiększał. Wreszcie gdy ich było dosyć wielu, otaczano obóz dzikich i dawano im do wyboru: poddać się lub zginąć. Tego rodzaju postępowanie stale się powtarzało, ale były i gorsze wypadki. Tak np. chcąc się pozbyć pewnego wojowniczego rodu, jezuici zaprosili do swego miasteczka wojowników z tego plemienia. Przyjmowali ich z wielką uroczystością, a w końcu, gdy ich spoili, powiązali ich i wrzucili do więzienia, w którem wielu z nich pozostawało aż do czasu wypędzenia jezuitów z Paragwaju.

Za pomocą takich środków jezuici stali się w całym Paragwaju zupełnymi panami i sami bezpośrednio rządzili. W dalszym ciągu potrafili oni uwolnić się za pomocą swych olbrzymich wpływów na dworze hiszpańskim oraz przez wpływ na samego króla — (przy którym stale pełnił obowiązki spowiednika ksiądz jezuita) — od wszelkiej kontroli rządu hiszpańskiego, a wreszcie i od płacenia podatków.

A jak żyli indyanie w tem państwie jezuickiem? Znając komunistyczne zwyczaje guaranów, jezuici zaprowadzili w swych osadach niby wspólną własność. W rzeczywistości jednak właścicielami całych osad oraz tego wszystkiego, co się w nich znajdowało, byli sami jezuici.

Indyanie zaś byli tylko robotnikami, których karmiono, odziewano i uczono religii katolickiej.

Ale jak wyglądało to karmienie i odziewanie? Mimo olbrzymiej zamożności osad jezuickich ludzie ci dostawali jedzenie i odzienie jak najlichsze. Lepsze ubranie, przystrojone błyskotkami, dawano w nagrodę podczas procesyi i nabożeństw kościelnych, po których je napowrót odbierano. Wszyscy indyanie chodzili boso, mimo że w państwie jezuickiem były garbarnie skór i jezuici prowadzili znaczny handel tym

produktem. Całem odzieniem indyan były : dla mężczyzn gruba koszula płócienna i spodnie z tego samego płótna, dla kobiet tylko długa koszula bez rękawów z przepaską w pasie. Mieszkania były tak samo nędzne, jak ubranie. Domy indyan były bez okien i kominów. Na środku domu stało urządzenie do palenia, dym zaś wychodził przez drzwi. Mebli indyanie nie posiadali żadnych : jedli, siedzieli i spali na ziemi. Pod koniec jezuici budowali długie regularne domy, w których mieszkały całe rody; dom był tak podzielony, że na każdą rodzinę przypadało miejsca od 2—3 metrów, ale wewnętrzne urządzenie tych domów niczem się nie różniło od dawnych. Sprzętów domowych najniezbędniejszych nawet indyan nie posiadali. Zato mieli oni kościoły wspaniałe; niektóre, jak np. kościół misyi św. Franciszka Ksawerego był tak wielki, że wewnątrz jego łatwo się mieściło 4.000 5.000 ludzi. Kościół ten wewnątrz był wspaniale przybrany złotem, srebrem, drogimi obrazami i rzeźbami. Podróżnik D'Orbigny, który zwiedzał te kościoły był w najwyższym stopniu zdziwiony ich przepychem. Takie urządzenie kościołów było obliczone na to, by imponować dzikim. Indyanie w swej naiwnej wierze uważali jezuitów w tem lśniącem otoczeniu za istoty niezwykłe — przedstawicieli samego Boga.

Jezuici byli praktycznymi gospodarzami, pamiętając przedewszystkiem o wyzysku siły roboczej indyan i o nagromadzaniu bogactw. W dawnych koloniach świeckich w Paragwaju dzicy obowiązani byli pracować dla swych panów 2 miesiące w roku; jezuici, po zapanowaniu w Paragwaju, prawo to znieśli i zmusili indyan odrabiać pańszczyznę cały rok. Praca była w dodatku bardzo ciężka. Jezuici prowadzili znaczny handel produktami, wytworzonymi w osadach swoich. Sprzedawali oni : tytoń, jarzyny, bawełnę surową i przędzoną, skóry wyprawione, obuwie, wosk oraz wielkie ilości herbaty paragwajskiej, zwanej Maté. Jezuici sprzedawali więcej herbaty, niż wszyscy koloniści świeccy razem wzięci. Dla zbierania herbaty jezuici wysyłali ekspedycye w okolice często o 100 do 200 mil odległe od osad. Na takich wycieczkach bardzo dużo indyan umierało w skutek wyczerpujących marszów i ciężkiej pracy.

Dla odcięcia indyan od świata zewnętrznego i od obcych wpływów jezuici przedewszystkiem przestali uczyć ich języka hiszpańskiego. Nadto osady były tak urządzone, że ani wyjść ani wejść nikt nie mógł bez kontroli. Nawet pastwiska dla bydła i pola orne okopane były rowami i pilnie strzeżone przez oddział policyjny. To zamknięcie indyan, jak w więzieniu, było jeszcze i na to obliczone, by nie mogli oni uciekać z „raju jezuickiego". Jeżeli uciekającego indyanina schwytano, to wtedy oprócz kary, wysyłano go do innej osady, gdzie był oddawany pod specyalny dozór. Jezuici w barbarzyński sposób traktowali indyan, wymierzając im publicznie surowe kary cielesne. Życie indyan jeszcze bardziej czynił przykrem i niewolniczem obowiązek przepędzania całego czasu po pracy i niezbędnym odpoczynku w kościele, na modlitwie. Indyanie nie mieli najmniejszej wolności, lecz wszystko według rozkazów jezuitów spełniać musieli. Nietylko iść na spoczynek

i rano wstawać musieli według dzwonka, ale był specyalny dzwonek, który oznajmiał czas, kiedy się indyanie mogli zbliżać do swych żon.

Mieszkańcy Paragwaju byli zatem rzeczywistymi niewolnikami. Sami zaś jezuici zbijali skarby z bezpłatnej pracy indyan na urodzajnej ziemi Paragwaju.

Tak wyglądał „raj na ziemi“, który jezuici stworzyli dla indyan. Wobec tego, zrozumiemy, jak należy pojmować słowa księży, piszących o tych urządzeniach. Chwalą oni przedewszystkiem, że nie było tam praw pisanych. „Sumienie zastępowało miejsce prawodawstwa“, powiada współczesny jezuita Funes. „Nie było praw karnych, lecz proste przepisy, za przekroczenie których skazywano tylko na post lub modlitwy“. Don Pedro Faxardo, biskup z Buenos Ayres, pisał w 1721 r. do króla hiszpańskiego Filipa V : „Wśród ludności tej panuje tak wielka cnota, że sądzę, iż tam w ciągu roku nie jest popełniony ani jeden grzech śmiertelny ; czujność duchownych zapobiega najmniejszemu grzechowi“. „Praw cywilnych ludność republiki jezuickiej nie miała, gdyż własność prywatna była tam nieznaną“, mówi jezuita Funes.

Tak, praw karnych i cywilnych nie trzeba było spisywać, bo — wszystkiem rządziła nieograniczona samowola jezuitów, i wszystko było własnością jezuitów! To jest prawdziwy sens ładnych frazesów księży piszących o Paragwaju.

Widzieliśmy, jak zaraz po przybyciu swem do Paragwaju jezuici napadali na nadużycia hiszpanów. Teraz kartka się odwróciła. Nieludzkie obchodzenie się jezuitów z guaranami służyło za powód do napaści na nich świeckim kolonistom. Ci z zazdrością spoglądali na świetny interes, jaki jezuici robili w swych koloniach. Wyzyskując w taki straszliwy sposób guaranów, jezuici mogli produkty swe sprzedawać tanio, przez co robili świeckim kolonistom straszną konkurencyę. Skargi na jezuitow, że wyzyskują indyan, doszły mimo starań ich aż do króla hiszpańskiego. Naznaczono komisyę, która miała zbadać, czy skargi są słuszne. Ale wpływ jezuitów na dworze hiszpańskim był tak silny, że do komisyi wyznaczono samych jezuitów. Komisya ma się rozumieć wydała jak najlepsze świadectwo, przedstawiając państwo jezuickie jak najidealniej.

Teraz po ostatecznem zwycięstwie nad opozycyą świeckich kolonistów jezuici postarali się u rządu hiszpańskiego o jeszcze dogodniejsze prawa dla siebie. Przedewszystkiem przeprowadzili to, że nikomu nie wolno było przyjechać z Hiszpanii do Paragwaju bez zezwolenia jezuitów. Dalej wyjednali sobie pozwolenie na zorganizowanie własnej armii w Paragwaju. (Przytem wyłudzili od rządu darmo broń i amunicyę). I pod względem organizacyi wojskowej jezuici okazali talent nie lada. Mieli oni 4.000 wojska, które w razie potrzeby mogło być powiększone do 12.000.

Po tem ostatniem ustępstwie jezuici stali się zupełnie niepodległymi względem korony hiszpańskiej : nie płacili podatków, uchylili wszelką kontrolę rządu hiszpańskiego nad krajem, nie puszczali do Paragwaju nikogo, kto się im nie podobał i wreszcie posiadali własną armię. Nie chcieli oni jednak zrywać odrazu z królem hiszpańskim. Mieli oni

szerokie plany, chcieli powoli opanować znaczną część Południowej Ameryki i stworzyć olbrzymie państwo jezuickie.

Atoli niezadowolenie z rządów jezuickich rosło; wreszcie i król przejrzał, że jezuici nietylko wyzyskują indyan, lecz mają też tajne cele, przedewszystkiem oderwanie się od Hiszpanii. Z rozporządzenia króla Karola III, syna Filipa V, gubernator Bucareli uwięził odrazu wszystkich jezuitów w liczbie około 150, używszy do tego środków jak najzręczniejszych. Dnia 3 sierpnia 1768 r. wypędzono ich wszystkich z całego obszaru kolonii hiszpańskich.

Wincenty Sikorski.

PRAWODAWSTWO FABRYCZNE

W SZWAJCARYI

Szwajcarya jest to mały kraj, liczący tylko 3 miliony mieszkańców, a więc 40 razy mniej, niż państwo rosyjskie. Kiedy mowa o wojnach, o zaborach, o podbijaniu obcych ludów, nazwy tego kraiku nie usłyszymy; w tak zwanej „wielkiej“ polityce, to jest, w kłótniach między różnemi państwami o łupy, w ciągłem powiększaniu siły zbrojnej, w szacherkach dyplomatycznych, Szwajcarya udziału nie bierze. Wszystkie te „wzniosłe“ zadania pozostawia ona innym państwom sobie zaś stawia jedno tylko zadanie : rozwój sił wewnętrznych, pracę pokojową na polu kultury, to jest oświaty i dobrobytu, pielęgnowanie i rozszerzanie praw ludowych. W Szwajcaryi panuje zupełna wolność słowa i prasy, lud sam stanowi tam dla siebie prawa, większa część urzędników jest też wybierana przez lud. Niema tam wojska stałego, tylko tak zwana milicya, to jest wojsko ludowe, do którego należą wszyscy obywatele kraju płci męskiej od 20-tego roku życia i gdzie każdy służy co rok tylko przez kilkadziesiąt dni; wracając zaś do domu, zabiera ze sobą broń, której mu dostarczyło państwo. Jednem słowem, lud w Szwajcaryi sam sobą rządzi i cieszy się takiemi prawami, o jakich poddanemu np. rządu moskiewskiego nawet myśleć nie wolno. To też, chociaż w Szwajcaryi lud nie zdobył sobie jeszcze wszystkiego, choć i tam panują bieda i wyzysk, jako konieczne skutki ustroju kapitalistycznego — jednakże jest tam lepiej, niż gdzieindziej, robotnicy mają walkę łatwiejszą, połączoną z mniejszemi ofiarami, i więcej sobie zdobyć mogą. Robotnicy polscy powinni się dokładnie zapoznać z urządzeniami szwajcarskiemi, a to w tym celu, by zrozumieć całą różnicę, jaka zachodzi między wolnością a niewolą, i by na ziemi polskiej po zgnieceniu despotyzmu moskiewskiego zaprowadzić — wolność szwajcarską!

* * *

Tym razem pomówimy tylko o szwajcarskiem prawodawstwie fabrycznem i zobaczymy, o ile wyżej i pod tym względem Szwajcarya stoi od Rosyi. Pismacy carscy ciągle nam mówią, że prawodawstwo fabryczne u nas istnieje tylko z łaski „Najjaśniejszego Pana“. A no, zobaczmyż, jak wygląda to prawodawstwo tam, gdzie niema „Najjaśniejszego Pana“ a raczej „Najjaśniejszym Panem“, wszechwładzcą jest lud cały.

W Szwajcaryi do r. 1877 prawodawstwo fabryczne było rzeczą pojedyńczych kantonów, to jest 22 dzielnic, z których się ten kraj składa. W ten sposób nie było jednolitego prawodawstwa, które by obejmowało kraj cały, w niektórych kantonach wcale ochrony pracy nie było, w innych była bardzo szczupła. Najwyżej stały pod tym względem dwa kantony : Glarus i Bazylea — miasto. Glarus był pierwszem państwem, które zaprowadziło normalny dzień roboczy, to jest, ograniczyło jego długość dla wszystkich robotników. W kantonie tym prawo w r. 1864 skróciło dzień roboczy do 12 god., w r. 1872 — do 11 god. W Bazylei — mieście ustanowiono w r. 1869 normalny dzień roboczy, zawierający 12 god. Za tym dobrym przykładem poszedł i kanton Tessin, gdzie w r. 1873 skrócono dzień roboczy do 12 god. i kazano odbywać robotę między 5 rano a 7 i pół wieczorem. Widzimy więc, że skrócenie dnia roboczego mocą prawa po raz pierwszy zastosowane zostało nie w monarchii, gdzie to niby panujący opiekuje się ludem, lecz w rzeczypospolitej, gdzie lud rzeczywiście opiekuje się sam sobą.

Dopiero konstytucya (to jest, prawo zasadnicze, ogólne zasady ustroju państwowego) Związku szwajcarskiego z r. 1874, przyjęta przez powszechne głosowanie ludowe, orzekła, że prawodawstwo fabryczne ma być rzeczą całego państwa, nie zaś pojedyńczych kantonów. Na zasadzie tej konstytucyi rząd przystąpił do opracowania prawa fabrycznego dla całej Szwajcaryi. Sam sposób wydania tego prawa pokazuje nam całą różnicę, jaka dzieli kraj wolny od państwa despotycznego. Kiedy rząd rosyjski chce wydać jakie prawo, dotyczące przemysłu, wtedy udaje się po radę jedynie i wyłącznie do panów fabrykantów. Tymczasem Rada Związkowa (rząd) szwajcarski zwrócił się po radę, projekty i uwagi do wszystkich zainteresowanych, zarówno do stowarzyszeń przemysłowców, jak i do związków robotniczych. Następnie — w Rosyi jest tak, że prawo ogłoszą i basta, trzeba słuchać, krytykować nie wolno. W Szwajcaryi inaczej : tam projekt nowego prawa rząd rozesłał do pism i w prasie zaczęto go swobodnie omawiać i rozstrząsać, nie potrzebując się obawiać żadnych cenzorów ani kar. Wreszcie prawo fabryczne zostało przyjęte przez parlament, to jest, przez sejm, do którego lud posyła swoich przedstawicieli. Ale jeszcze wtedy nie można było uważać prawa za ostatecznie przyjęte; dopiero, kiedy lud szwajcarski w powszechnem głosowaniu 21 października 1877 r. zgodził się na nie, dopiero wtedy weszło w życie. A w Rosyi wydaje prawa car z bandą urzędników, nie pytając się wcale o zdanie i o przyzwolenie ludu!

Przyjrzyjmy się teraz treści tego prawa, które dotychczas obowiązuje. A naprzód zatrzymajmy się nad przepisami, dotyczącymi pracy dzieci, kobiet i młodzieży. Na zasadzie prawa szwajcarskiego, dzieci, które nie ukończyły jeszcze czternastego roku życia, nie mogą pracować w fabrykach. Nauka szkolna wraz z pracą fabryczną mogą wynosić razem najwyżej 11 god. na dobę (tyczy się to dzieci od 14 do 16 lat). Młodzieży, nie mającej 18 lat, praca niedzielna i nocna jest wzbroniona; wyjątki dopuszczone są w określonych wypadkach, jedynie za pozwoleniem Rady Związkowej. Kobiety pod żadnym pozorem nie mogą być używane do pracy niedzielnej i nocnej. Rada Związkowa może zabronić pracy młodzieży i kobietom w pewnych, szczególnie dla zdrowia szkodliwych gałęziach przemysłu. Kobiety nie mogą być używane do czyszczenia znajdujących się w ruchu motorów, transmisyi i niebezpiecznych maszyn. Położnicom nie wolno pracować w ciągu 8 tyg. przed i po połogu, przyczem nie mogą pracować w ciągu 6 tygodni po połogu.

Co się tyczy pracy robotników dorosłych, to ich dzień roboczy może wynosić najwyżej 11 godz. na dobę, w przeddzień niedziel i świąt — 10. Praca odbywać się winna między god. 6 rano (latem 5) a 8 wiecz. W czasie roboczym zachodzić ma przerwa co najmniej godzinna, dla kobiet zaś, mających gospodarstwo domowe, półtoragodzinna. W gałęziach pracy, szczególnie szkodliwych dla zdrowia, Rada Związkowa może ustanowić dzień roboczy krótszy od 11 god. Praca niedzielna i nocna w zasadzie jest wzbroniona. Pozwolenia na pracę dodatkową, po fajerancie udzielać może władza okręgowa lub miejscowa, jednakże na przeciąg czasu dłuższy od 2 tyg. — tylko rząd kantonalny.

Dla rodzajów przemysłu, wymagających koniecznie pracy nieprzerwanej, Rada Związkowa może udzielać pozwolenia na stałą pracę nocną i niedzielną; jednakże i wtedy dzień roboczy dla pojedyńczego robotnika nie może przewyższać 11 godz. na dobę, a każdą drugą niedzielę robotnik ma mieć wolną. Praca nocna niestała, na krótki przeciąg czasu, ulega tym samym warunkom, co robota po fajerancie.

Przejdźmy teraz do odpowiedzialności przedsiębiorców za wypadki, zdarzające się na fabrykach, o czem w Szwajcaryi istnieje osobne prawo. Przedsiębiorca odpowiedzialny jest za każdy wypadek, który wydarzy się w fabryce zatrudnionym przez niego ludziom, o ile nie zdoła dowieść, że przyczyną wypadku jest nieostrożność osób, do fabryki nienależących, lub własna wina poszkodowanego. Przedsiębiorca jest nawet odpowiedzialny za choroby jego robotników, wynikające z warunków pracy w jego fabryce, a więc za tak zwane choroby zawodowe. Odszkodowanie dla dotkniętego wypadkiem lub dla jego rodziny wynosi najwyżej 6.000 franków albo sześciokrotny zarobek roczny.

Wymieniliśmy główne przepisy szwajcarskiego prawodawstwa fabrycznego. Dodać jeszcze należy, że dla służby kolejowej najwyższy dzień roboczy wynosi 12 god. i że ma ona zapewnione 52 święta w ciągu roku, z tego 17 niedziel. Obecnie, dzięki staraniom

wielkiej organizacyi kolejarzy szwajcarskich, ich dzień roboczy będzie skrócony jeszcze o godzinę.

W powyższym przeglądzie mówiliśmy wyłącznie o prawodawstwie ogólno-szwajcarskiem, tyczącem się robotników fabrycznych. Ale oprócz tego, w pojedyńczych kantonach istnieją prawa, określające warunki pracy w mniejszych zakładach przemysłowych a dotyczące głównie robotnic. Najlepszem z nich jest wydane przed kilku laty prawo zuryskie : ogranicza ono pracę robotnic do 10 god. na dobę, w przeddzień niedziel i świąt — do 9. Praca dodatkowa może trwać najwyżej dwie godziny na dobę, kończyć się musi najpóźniej o 9 wieczorem, a ilość jej w ciągu roku nie może przewyższać 75 godz. Po skończonej pracy w warsztacie, nie wolno dawać roboty do domu.

*
* *

Jeżeli teraz porównamy rosyjskie prawodawstwo fabryczne ze szwajcarskiem, to zobaczymy, że to ostatnie wyższe jest pod wszelkimi względami. Normalny dzień roboczy w Rosyi wynosi 11 i pół god., w Szwajcaryi — 11; zauważyć jeszcze należy, że dzięki swobodzie ruchów, jaką mają robotnicy szwajcarscy, zdołali oni w bardzo wielkiej ilości zakładów przemysłowych skrócić dzień roboczy do 10 god. i że teraz energicznie agitują za powszechnem skróceniem dnia roboczego do tej miary. Praca nocna w fabrykach szwajcarskich wogóle jest zakazana; wyjątkowo mogą władze dawać na nią pozwolenie, przyczem kobiety żadną miarą nie mogą pracować w nocy. W Rosyi praca nocna, tak szkodliwa dla robotników, zupełnie nie jest skrępowana. Przytem w Szwajcaryi za noc uważana jest część doby od 8 wiecz. do 6 rano (tylko przez 3 miesiące — do 5-tej), podczas gdy w Rosyi od 9 wiecz. do 5 rano albo nawet (w fabrykach, pracujących z dwiema zmianami) od 10 wiecz. do 4 rano! Małoletni nie mogą pracować w Rosyi do 13 roku życia, w Szwajcaryi do 15-tego. Ale pomijając nawet szczegółowe przepisy, jeśli zwrócimy uwagę na całość prawodawstwa, na duch, ożywiający go, przekonamy się o ogromnej różnicy między Szwajcaryą a Rosyą. W Szwajcaryi prawo jest ścisłe i wyraźne, w Rosyi daje na każdym kroku możność rozmaitego tłómaczenia, jest rozciągłe i niejasne ; w Rosyi na każde prawo wypadają co najmniej cztery wyjątki, które samo prawo sprowadzają do zera, to samo czynią następujące po prawie cyrkularze i ukazy ministrów, w Szwajcaryi prawo nie daje się tak dziurawić ; w Rosyi inspektorzy fabryczni, mający stać na straży prawa, są sprzedajni i stoją po stronie fabrykantów, w Szwajcaryi inspektorzy są to ludzie uczciwi, sumienni i bezstronni; w Rosyi nie ukazują się na widok publiczny nawet sprawozdania inspektorów, a gazetom nie pozwalają pisać o stosunkach robotniczych, w Szwajcaryi wszelkie nadużycia, wszelkie sprawki fabrykantów są wywlekane na światło dzienne; w Rosyi panuje nahajka, robotnicy są skrępowani, nie mogą tworzyć jawnych instytucyi, które by stały na straży ich praw, w Szwajcaryi robotnicy mają zupełną swobodę ruchów, mogą kontrolować i inspektorów, i rząd, mogą wal-

czyć o swoje prawa; w Rosyi prawo fabryczne, jak wszystkie inne prawa tego barbarzyńskiego państwa, przesiąknięte jest duchem policyjnym, w Szwajcaryi — duchem wolności.

Porównywając stosunki szwajcarskie z rosyjskimi, przekonywamy się, że, jak powiedział jeden z uczestników międzynarodowego zjazdu dla prawodawstwa ochronnego: „Tylko w słońcu wolności rosnąć może drzewo opieki nad pracą!“

F. P.

SOCYALIZM W IRLANDYI

Redaktor „Światła“ zażądał ode mnie, bym napisał dla czytelników tego pisma krótki obraz położenia i sił naszego ruchu w Irlandyi. Rad jestem, o ile mi siły pozwolą, wypełnić to życzenie; ale czuję, że jest ono zbyt zaszczytnem dla partyi naszej, która jest tak jeszcze młodym rekrutem w międzynarodowej armii socyalistycznej, iż prawie nie może sobie rościć pretensyi do posiadania własnej historyi. Historya samej partyi naszej, tak dotąd krótka, może nie warta jest opowiadania. Ale zato szczególne położenie naszego kraju, jego stan ekonomiczny i polityczny muszą zainteresować towarzyszy naszych w Polsce, bo położenie Polski da się pod wielu względami porównać z naszem. To też postaram się dać krótki zarys dziejów Irlandyi i nauki, które my z nich wyciągnęliśmy.

Ludność Irlandyi liczą obecnie na cztery i pół miliona. Olbrzymia większość tej ludności zajęta jest pracą rolniczą. Przemysłu fabrycznego w kraju naszym właściwie niema, z wyjątkiem niektórych okolic północnej prowincyi Ulster i wschodniej prowincyi Leinster. Irlandya jest pod rządem angielskim już od 700 lat, a w ciągu tego czasu kraj nasz był widownią prawie ciągłych wojen części irlandczyków przeciwko rządom najezdniczym. Aż do 1649 roku wojny te były prowadzone nie tylko przeciwko władzy politycznej Anglii, lecz i przeciwko porządkom społecznym, zaprowadzanym przez anglików. Może zdziwi polskich czytelników, że aż do 1649 r. irlandzkie porządki społeczne z wyjątkiem małego kawałka ziemi naokoło stolicy Irlandyi, Dublinu, — opierały się na gminnej, rodowej własności ziemskiej. Wódz irlandzki, chociaż uważany na dworach Francyi, Hiszpanii i Rzymu za równego panującym książętom Europy, zależał w istocie najzupełniej od woli swego ludu.

W tych częściach Irlandyi, gdzie w 500 lat po pierwszym tak zwanym podboju wielkorządcy angielscy mogli ukazać się nie inaczej, jak na czele potężnej armii, porządki społeczne, które panowały w Anglii (feudalizm), były nieznane. W takiem położeniu była większa część naszej wyspy. To też wojna z obcym najezdnikiem znaczyła tyle, co wojna z prywatną własnością ziemską. Ale gdy w 1649 r. przemocą zniszczono irlandzki ustrój rodowy, znikł też społeczny cha-

rakter walk narodu irlandzkiego; nabrały one znaczenia wyłącznie politycznej walki o niepodległość.

Było to w każdym razie nieuniknione. Gminna własność ziemska ustąpiłaby miejsca prywatnej własności landlordów (wielkich posiadaczy ziemskich), nawet gdyby Irlandya zachowała swą niepodległość. Stało się jednak inaczej : zmiana ta nastąpiła nie przez działanie sił ekonomicznych wewnątrz kraju, lecz dzięki przemocy zewnętrznej siły zbrojnej. To też szerokie masy ludu irlandzkiego gorzko i słusznie były tem rozjątrzone. Do dziś jeszcze marzenia ludu irlandzkiego o wolności narodowej łączą się z tęsknotą do przywrócenia starożytnego sposobu władania ziemią, chociaż dziś powrót do starych porządków własności ziemskiej jest zupełnie niemożliwy.

Rozbicie ustroju rodowego naturalnie położyło kres znaczeniu wodza. Dzisiejsza irlandzka arystokracya — to potomkowie cudzoziemskich najezdców lub zdrajców kraju. Dzięki temu, kierunek wszystkimi ruchami patryotycznymi w Irlandyi dostał się do rąk wyłącznie klasy średniej — właściwej burżuazyi. Nasze ruchy patryotyczne stały się po większej części zależne od interesów burżuazyi. Czasami ci lub owi patryoci burżuazyjni, by wzbudzić zapał i zapewnić sobie poparcie wydziedziczonych mas ludu, wypowiadali w poezyi i w opowiadaniach narodowych poglądy, zbliżone do socyalizmu. Były to poglądy na dzisiejszy ustrój społeczny podobne do zapatrywań pierwszych (utopijnych) socyalistów europejskich. Ale w okamgnieniu znajdował się zaraz jakiś inny patryota burżuazyjny, który śpieszył uspokoić burżuazyę jakiemś powiedzeniem wręcz przeciwnem. Jeżeli poglądy społeczne jednego były napół-rewolucyjne, to drugi napewno wyrażał zdania zupełnie wsteczne. Jedno ładnie wyrównuje drugie, a w ten sposób chcianoby stworzyć tak zwany „ruch prawdziwie narodowy“, to jest, ruch, w którym każda klasa społeczeństwa uznawałaby prawa wszystkich innych klas, w którym zarazem wszystkie klasy odkładałyby na stronę swe specyalne dążenia i połączyły się w walce narodowej przeciwko wspólnemu wrogowi — Anglii. Niema co mówić, że takie gadania oszukiwały tylko jedną klasę — klasę robotniczą. Jeżeli przestaniemy zajmować się klasowymi interesami, jeżeli przestaniemy rozpatrywać specyalne interesy różnych klas, to zyska na tem klasa posiadająca, klasa chcąca zachować swe łupy. Burżuazya może zatrzymać swe panowanie, swe zdobycze tylko wtedy, jeśli nie będziemy przyglądali się jej położeniu klasowemu, jeśli będziemy milczeli o interesach różnych klas. Jak człowiek, który doszedł do majątku przeniewierstwami i oszustwem, burżuazya niczego tak się nie obawia jak bezstronnego i ścisłego wglądania w pochodzenie jej posiadłości. To też pisma burżuazyjne i politycy burżuazyi bez ustanku starają się roznamiętniać aż do gorączki umysły klasy robotniczej w sprawach nie naruszających klasowych interesów burżuazyi. Wojna, religia, rasa, język, reformy polityczne, patryotyzm — wszystko to służy w rękach klas posiadających do odwracania uwagi robotników od burżuazyjnego ustroju społecznego, wszystko służy do oddalania przewrotu społecznego. Wszystkie te sprawy mogą kierować umysły w stronę jak

najdalszą od spraw ekonomicznych, a w ten sposób opóźniać rozwój klasowej świadomości proletaryatu. Takiem jest zadanie polityki dzisiejszej Irlandzkiej Partyi Parlamentarnej, czyli Partyi Home-Rule (samorządu).

Burżuazya irlandzka oddawna uprawia taką taktykę i — przyznać trzeba — znalazła dla siebie w robotnikach-rodakach znakomity, podatny materyał. W ciągu ostatniego stulecia każde pokolenie w Irlandyi było świadkiem prób powstania przeciwko rządowi angielskiemu. Większość zwolenników każdego takiego spisku lub powstania pochodziła z niższych warstw ludności wiejskiej i miejskiej. A jednak pod wpływem garstki przywódców burżuazyjnych zgóry usuwano na bok wszystkie sprawy robotnicze i postanawiano, że powstańcy w razie zwycięstwa niemi zajmować się nie będą. Myślano, że takie postępowanie zapewni powstaniu pomoc wyższych klas i sprowadzi je pod sztandar rewolucyi.

Ale rezultat takiego postępowania prawie zawsze był jednakowy. Robotnicy co prawda dostarczali większość rekrutów do szeregów rewolucyjnych, większość ofiar więzienia i rusztowania; jednak cała masa robotnicza nie mogła, dzięki takiemu postępowaniu przywódców powstania, na tyle przejąć się ogniem rewolucyjnym, by poważnie zagrozić najazdowi trwającemu już 700 lat. Wszyscy robotnicy co prawda z serca chcieliby niepodległości narodowej, ale rozumieli, ile ofiar musi kosztować jej wywalczenie. Gdy zaś przywódcy powstania na dobitkę wyraźnie im powtarzali, że lud pracujący nie powinien spodziewać się nawet od zwycięskiego powstania żadnej zmiany w warunkach niewoli społecznej, to cóż dziwnego, że masa ludu robotniczego cofała się przed walką, a tylko jednostki najbardziej szlachetne i rycerskie szły do szeregów na bój nierówny i padały ofiarą zemsty wroga?

Wyższe klasy również pogardliwie głuche były na umizgi burżuazyjnych patryotów. Klasy wyższe cieszyły się własnością, ruchomą i nieruchomą. Pod opiekuńczą władzą Anglii czuły one swe posiadanie zabezpieczone, ale bynajmniej nie były pewne, jakie losy by je spotkały w razie zwycięstwa ruchu rewolucyjnego. To też wielcy posiadacze ziemscy (landlordowie) stale byli wierni Anglii. Gdy poeci i marzyciele burżuazyjni roztkliwiali się nad „zgodą wszystkich stanów i wyznań", tymczasem arystokracya broniła swych prywatnych interesów przed drobnymi dzierżawcami tak nieubłaganie, że nieomal zupełnie wyludniła kraj. Doszło do tego, iż angielskie pismo burżuazyjne, londyński Times, oświadczył, że „imię landlorda irlandzkiego jest hańbą dla chrześciaństwa!"

Drobna burżuazya w przeszłości dała sprawie narodowej wielu szczerych patryotów, pełnych poświęcenia. Ale wogóle niepewny to żywioł. Z jednej strony rada by ona zadowolnić swych upośledzonych rodaków i dla spokoju własnego sumienia krzyczy najgłośniej o swej niewyczerpalnej miłości dla sprawy swobody. Jednak cała klasa drobnej burżuazyi ciągle stara się skierować umysły społeczeństwa na drogę agitacyi legalnej za takiemi reformami, które by usunęły drażniące

i zbyteczne wyskoki rządów angielskich urzędników, lecz nie naruszyły samych podstaw niewoli narodowej i ekonomicznej. W ten sposób w oczach nierozważnego tłumu mogą oni uchodzić za gorących patryotów. Zarazem zaś mogą korzystać ze wpływu swego, jako „przywódcy patryotyczni", na to, by potępiać wszelki poważny ruch rewolucyjny, który by od nich wymagał większych dowodów szczerości, niż hałaśliwe gardłowanie, lub większych ofiar z ich kieszeni.

W 1879 roku bardziej postępowi z chłopów, uprawiających rolę wydzierżawioną od landlordów, rozpoczęli ruch przeciwko wyzyskowi dziedziców. Był to czas dobrze wybrany, bo w rolnictwie panował wielki zastój, chętnie więc słuchano nowej ewangelii, która z początku była wygłaszana z prawdziwie rewolucyjnym zapałem i siłą. Ruch wzrastał wbrew oporowi duchowieństwa i burżuazyjnych polityków; wreszcie klasy te zaczęły się obawiać, że utracą swoje wpływy na lud, i dla zapobieżenia temu przyłączyły się do ruchu, stopniowo go osłabiając i studząc zapał. Wkrótce ruch rolny zupełnie stracił początkowe właściwości socyalistyczne. Po pewnym czasie wszystkie cele pierwotnych założycieli ruchu spokojnie schowano do kieszeni, a wystawiono natomiast wyłącznie „Home Rule" (samorząd dla Irlandyi).

Od tego czasu politycy burżuazyjni na dobre rozpanoszyli się w Irlandyi. Socyalizm aż do ostatnich czasów wywierał bardzo mały wpływ na umysły ludu irlandzkiego; znano go tylko z gazet angielskich, to też patrzano nań ze wstrętem jako na „angielski" wymysł. Robotnicze związki zawodowe są u nas coprawda rozpowszechnione, ale prowadzone są w ten sam sposób, co najbardziej zacofane ze związków angielskich. Działalność polityczna jest wyraźnie wykluczona z tych stowarzyszeń; to też członkowie ich łączą się dla walki z przedsiębiorcą w fabryce, a tymczasem we wszystkich kwestyach politycznych poza murami fabryki idą posłusznie za tym samym kapitalistą. Związki te dążą tylko do drobnych polepszeń losu robotniczego, ale uważają cały ustrój dzisiejszy za wiecznie trwały, niezmordowanie więc zapewniają o swej dbałości o interesy kapitalisty i o chęci utrzymania „zgody między kapitałem a pracą".

Takie jest położenie Irlandyi, w której na początku 1896 roku Irlandzka Socyalistyczna Partya Republikańska rozpoczęła propagandę. Partyę tę założyło kilku robotników, którzy przyjęli zasady socyalizmu, ogłoszone przez Marksa i Engelsa. Rozpoczęto walkę słowem i pismem, które pomimo olbrzymich trudności już zdążyły głęboko wpłynąć na umysły ludu i zapewne w blizkiej przyszłości zupełnie zmienią polityczne położenie Irlandyi.

Treść nauki, z którą partya nasza zwróciła się do ludu irlandzkiego, jest następująca :

Wszystkie poprzednie ruchy patryotyczne w nowoczesnej historyi irlandzkiej dążyły li tylko do zniesienia lub zmian rządu angielskiego w Irlandyi. Ale właśnie dzięki rządom angielskim w Irlandyi klasy, które zrabowały ziemię naszych przodków, zabezpieczyły sobie posiadanie nieprawnych łupów. Dziś zaś rząd angielski jest jedyną materyalną gwarancyą, zapewniającą naszej burżuazyi jej panowanie-

klasowe i spokój w wyzyskiwaniu pracy. Jedyną zatem klasą, zdolną do ruchu rewolucyjnego, jest klasa robotnicza. Ale klasa robotnicza, chcąc utrzymać swą energię rewolucyjną, musi pozbyć się wszelkich związków z partyami burżuazyjnemi. Może zaś to uczynić, jedynie organizując się w klasową partyę polityczną, w Socyalistyczną Partyę Republikańską. Działalność tej partyi prędko zapędzi wszystkie żywioły zacofane do jednego obozu, do obozu zwolenników dzisiejszych porządków zarówno politycznych jak i społecznych. Socyalizm może być urzeczywistniony tylko wtedy, gdy klasa robotnicza ujmie w swoje ręce ster rządu i przeprowadzi swą wolę zgodnie z prawami rozwoju ekonomicznego. To też pierwszym krokiem do zwycięstwa – jak to uznają wszyscy zwolennicy socyalizmu naukowego — jest zdobycie władzy rządowej — jeśli można — w drodze pokojowej, jeśli trzeba — siłą.

Stąd wypływa potrzeba organizowania i kształcenia klasy robotniczej, by z zupełną świadomością swego powołania dziejowego mogła ona zająć w Irlandyi wszystkie stanowiska obieralne. Będzie to krokiem przedwstępnym do ujęcia w swe ręce samej władzy rządowej i zastąpienia rządów cudzoziemskich urzędników przez zorganizowane siły irlandzkiej demokracyi.

Przekonani jesteśmy, iż taka polityka jest w najzupełniejszej zgodzie ze wszystkiemi dążeniami ludu irlandzkiego, a zarazem opiera się na zasadach walki klasowej, na zasadach, których zastosowanie pozwoliło partyom socyalistycznym całego świata przezwyciężyć wszystkie przeszkody, obalić wszystkie zawady i dojść do stanowiska dzisiejszego, z którego blizko już widać cel naszego ruchu.

Wreszcie chciałbym w imieniu swych towarzyszy zapewnić braci polaków, że dążenie Irlandzkiej Socyalistycznej Partyi Republikańskiej do niepodległości narodowej Irlandyi bynajmniej nie wypływa z szowinizmu (źle zrozumianego patryotyzmu, nienawiści narodowej) lub wrogich uczuć względem angielskiej klasy robotniczej. Nie, do niepodległości Irlandyi dążymy dlatego, że jesteśmy przekonani, iż ruch robotniczy międzynarodowy musi zarazem organizować się narodowo i odpowiadać charakterowi i uczuciom narodowym.

James Connolly.

ANGIELSKIE PARTYE POLITYCZNE

Początki dzisiejszych partyi politycznych Anglii, jak wszystkich urządzeń politycznych tego kraju, sięgają bardzo dawnych czasów. Już w pierwszej połowie XVII wieku, przeszło 250 lat temu, spotykamy — jak dziś — dwie wielkie partye, które — mniejsza z jakich powodów — nazywano „Kawalerami“ i „Okrągłogłowymi“. Był to czas walki parlamentu angielskiego z samowolnemi zachciankami królewskiej dynastyi (rodziny) Stuartów, a właściwie króla Karola I. „Kawalerowie“

byli stronnictwem króla; do nich należała część arystokracyi, mianowicie, arystokracya dworska albo szlachta spokrewniona z dworzanami królewskimi i ulegająca ich wpływom, dalej duchowieństwo anglikańskie, wreszcie wszelkiego gatunku uczeni, poeci, artyści, aktorzy itp., żyjący z łask króla i jego dworu. Że anglikańskie duchowieństwo stało wówczas po stronie króla, to nic dziwnego, bo król stał się po oddzieleniu kościoła angielskiego od Rzymu czemś w rodzaju papieża dla Anglii, zwierzchnikiem kościoła. Inaczej jednak patrzeć na Karola I musiało duchowieństwo różnych sekt drobnych, prześladowanych przez anglikański kościół państwowy. To też duchowni tych sekt należeli do stronnictwa „Okrągłogłowych", a do tego samego stronnictwa należeli również kupcy — zwłaszcza drobniejsi, — rzemieślnicy i wogóle przemysłowcy, drobni posiadacze ziemscy i część arystokracyi, nie związana z dworem królewskim. Te klasy ludności cierpiały od podatków, samowolnie ściąganych przez króla, i dążyły do wzmocnienia władzy parlamentu.

Nazwy „Kawalerów" i „Okrągłogłowych" były w użyciu prawie przez 40 lat. W ciągu tych lat 40 Anglia przeszła najburzliwszy okres swej historyi nowożytnej. Króla ścięto, zaprowadzono rzeczpospolitą, po 11 latach znów przywrócono władzę królewską. Znowu spotykamy te same dwie partye, lecz noszą one już inne nazwy: Torysów i Whigów, które przetrwały aż do dnia dzisiejszego. Torysi są stronnikami władzy królewskiej, whigowie dążą w dalszym ciągu do jej ograniczenia.

Jednak w ciągu 30 lat (1660—1689 r.), przez które nad Anglią znowu panowała dynastya Stuartów, widzimy pewne różnice w składzie partyi. Tak np. duchowieństwo anglikańskie przed rewolucyą 1649 roku uznawało zasadę „biernego posłuszeństwa" władzy królewskiej po prostu za święty dogmat religijny (jak dzisiejsze duchowieństwo katolickie nieomylność papieża). Teraz wobec tego, że króla Jakóba II podejrzewano o chęć przywrócenia w Anglii katolicyzmu, duchowieństwo to przechodzi na pewien czas do obozu whigów. Natomiast drobniejsi posiadacze ziemscy wykonali wręcz przeciwny zwrot w polityce. Przed rewolucyą cierpieli oni głównie od tego, że król pozwalał sobie często na nieprawne ściąganie wysokich podatków. Stuarci, przywróceni na tron, stali się pod tym względem ostrożni, i grzeszyli już nie tyle samowolnem obdzieraniem narodu, co kradzeniem na swój użytek prywatny pieniędzy zebranych na cele państwowe. Ale tego rodzaju złodziejstwo mało obchodziło szlagonów angielskich, mało dbali o to, co się wogóle dzieje poza obrębem ich wioski, a więc i o to, co się robi z pieniędzmi skarbowymi, byle tych pieniędzy od nich zbyt dużo nie żądano. Jeszcze jednem Karol II (pierwszy z dwóch Stuartów, którzy panowali po Rewolucyi 1649 r.) zaskarbił sobie względy szlagonów: zniósł on różne uciążliwe obowiązki, połączone z własnością ziemską w czasach średniowiecznych. Zato prawie cała arystokracya i ludność miejska stanęła w obozie whigów przeciwko królowi. Obie te warstwy narodu widziały, co się dzieje z pieniędzmi skarbowymi, a zwłaszcza ludność Londynu oburzona była na wyuzdane zbytki

dworskie. Łatwo zrozumieć, że przy takim składzie partyi whigowie musieli zwyciężyć. Oni to przywołali na tron Wilhelma III (w 1689 r.) i odtąd bez przerwy prawie, przez sto lat rządzili Anglią za pomocą parlamentu.

Po wstąpieniu na tron Wilhelma III duchowieństwo anglikańskie zaraz wróciło do partyi torysów i pozostało jej wierne do dziś dnia, chociaż nie mogło już głosić zasady boskiego pochodzenia władzy królewskiej, bo panowanie nowej dynastyi jak najwidoczniej dla wszystkich nie z nieba, lecz z woli ludu pochodziło. Szlagoni pozostali także wierni partyi królewskiej. Natomiast w partyi whigów, która rządziła Anglią przez cały XVIII wiek, po dawnemu widzimy arystokracyę z całą ludnością miejską.

Przyjrzyjmy się, jak wyglądały obie te warstwy narodu : arystokracya i ludność miejska, oraz na czem polegał udział każdej z tych warstw w rządach kraju.

Arystokracya angielska już wówczas była czemś zupełnie innem, niż arystokracya innych krajów. Możemy nawet powiedzieć więcej : nigdy arystokracya w Anglii nie była tem, co znamy pod tą nazwą w Europie. Nie będziemy tu mówili o innych różnicach, dość zwrócić uwagę na to, jak często i gruntownie zmieniał się jej skład. Jeśli zaczniemy od arystokracyi, powstałej z hordy normańskich najezdników, którzy w 1066 r. pod wodzą Wilhelma I podbili Anglię, to widzimy, że oni już w sto lat po najezdzie prawie zupełnie potracili swoje posiadłości, a więc i stanowisko. Nowa arystokracya, powstała z rodzin urzędników królewskich, wyginęła prawie do szczętu w czasie wojen domowych w XV wieku. W tym samym czasie znika i pańszczyzna, właściwy grunt, na którym rosła arystokracya innych krajów. Ostatnie ślady pańszczyzny zginęły w Anglii za panowania Elżbiety (1558—1603 r.), a za tego samego panowania Anglia staje się największem państwem handlowem świata.

Powstają olbrzymie kompanie handlowe, do których chętnie garnie się i arystokracya, to jest, wielcy posiadacze ziemscy, obdarzeni tytułami szlacheckimi. Handlarzy szlacheckiego i mieszczańskiego pochodzenia różnią już tylko tytuły. Ale wkrótce i ta baryera okazuje się bardzo kruchą. Jakób I zaczyna od 1611 roku sprzedawać szlachectwo; jako warunek postawiono przytem coprawda, by amator tytułu posiadał ziemię, przynoszącą 10.000 rubli rocznego dochodu. Ale bogaci kupcy z przyjemnością warunkowi temu zadość czynili, i z nich to głównie powstała klasa, znana dziś jako „arystokracya angielska“. W ten sposób z jednej strony kupcy stawali się właścicielami ziemskimi i szlachtą, z drugiej dawniejsza szlachta — posiadacze ziemscy — stawali się kupcami. Różnice się zatarły i właściwie już od końca XVII w. widzimy w Anglii, na najwyższym szczeblu drabiny społecznej jednolitą wielką burżuazyę.

Co zaś do ludności miast, to musimy z góry powiedzieć, że właściwy lud pracujący, klasa robotnicza, aż do końca XVIII w. nie miała tu żadnego wpływu na rządy, jak zresztą i w innych krajach. Służyła ona tylko za podporę i powolne narzędzie dla burżuazyi.

Powiedzieliśmy, że Anglią w XVIII w. rządzili whigowie, czyli sojusz arystokracyi z ludnością miejską. Jak widzimy, znaczyło to, że panowała w tym kraju wielka burżuazya handlująca i posiadająca ziemię do współki z drobniejszą, czyli przemysłową burżuazyą. Ale i ta współka nie była zawarta na równych prawach. Przemysłowa burżuazya coprawda nie pozwalała się tak wyzyskiwać politycznie, jak proletaryat, ale musiała się zadowolnić tylko pośrednim udziałem w rządach. W parlamencie rządziła jedynie wielka burżuazya, a ta, starając się zresztą w miarę możności o zadowolnienie przemysłowców, dbała o zachowanie steru rządów w swojem ręku. Prawo wyborcze przysługiwało tylko posiadaczom ziemskim*), a własność ziemską za pomocą zwyczajów prawnych (tak zwanej substytucyi) w XVIII stuleciu nieomal na wieki skupiono w rękach wielko-burżuazyjnych rodzin.

Burżuazya przemysłowa mogła być z tego stanu rzeczy zadowolniona tylko dotąd, dopókąd sama nie porosła dostatecznie w pierze. Tymczasem już od połowy XVIII w. wynalazki maszyn pozwoliły rozwinąć się przemysłowi na wielką skalę. Razem z bogactwem rosły i pretensye burżuazyi przemysłowej. Wystraszeni temi pretensyami whigowie zaczęli zbliżać się do zaśniedziałych torysów, którzy niczego nie pragnęli oprócz utrzymania starych porządków, i niczego tak się nie bali, jak wszelkich zmian. Na dobitkę we Francyi wybuchła Wielka Rewolucya 1789 r. i przeraziła wszystkich uprzywilejowanych na całym świecie. Część whigów przeszła do obozu torysów, i dzięki temu, partya torysów po stu prawie latach odpoczynku w zaciszu wiejskiem przyszła do władzy na przeciąg 40 lat, aż do 1830 r. Ale charakter jej był już zmieniony w skutek zmieszania się ze znaczną częścią dawniejszej whigowskiej wielkiej burżuazyi.

Czterdzieści lat panowania torysów to okres ciągłych walk burżuazyi przemysłowej z rządem. Obok torysów i whigów powstaje partya radykałów, która głównie jest przedstawicielką burżuazyi przemysłowej. Partya ta, z początku bardzo słaba, powoli rośnie w siły. Walka jednak na razie toczy się nie tyle w parlamencie, co poza parlamentem. Agitacya słowem i drukiem, zebrania publiczne, demonstracye, wreszcie zaburzenia i zamachy na króla i ministrów trwają bez przerwy. Whigowie w parlamencie, odepchnięci przez torysów od steru rządów i wzdychający do władzy, coraz bardziej zaczynają szukać sojuszu z radykałami i popierać ich dążenia. Wreszcie w 1832 r. burżuazya przemysłowa dostała się do parlamentu, reforma wyborcza dała jej prawo głosowania. Whigowie połączyli się z radykałami w jedną partyę, która odtąd nosi nazwę partyi liberalnej. Wkrótce potem i torysi przybrali nową nazwę — partyi konserwatywnej.

---

*) Do parlamentu mógł być wybrany tylko posiadacz ziemski, mający z ziemi rocznego dochodu przynajmniej 6.000 rubli (na wsi) lub 3.000 rs. (w mieście). Prawo to przeprowadzili torysi w 1711 r. w czasie jednej z krótkich przerw, w których udawało się im na chwilę odebrać rządy whigom. Ale naturalnie whigowie z przyjemnością z prawa tego korzystali.

W parę lat po reformie wyborczej 1832 r. ze świecą w dzień trzeba byłoby w Anglii szukać człowieka, który by zaprzeczał burżuazyi przemysłowej prawa do rządów. Na razie jednak zażarta walka pomiędzy liberalną — przemysłową — burżuazyą z jednej strony a konserwatywną — handlową i rolniczą — burżuazyą z drugiej strony trwała na polu ekonomicznem. Konserwatyści na złość liberałom przeprowadzili prawa, ograniczające wyzysk fabryczny. Liberali natomiast dążyli do zniesienia ceł zbożowych, dających specyalny przywilej burżuazyi rolniczej. Ale już w 1846 roku znalazła się wśród konserwatystów znaczna grupa ludzi, uznających, że prawa całej burżuazyi do zysku i wyzysku powinny być zrównane, że zatem należy znieść cła na zboże. Reformę tę dało k o n s e r w a t y w n e ministeryum R. Peela (Pila). Większość konserwatystów coprawda zemściła się na Peelu i wkrótce obaliła jego ministeryum, ale do ceł zbożowych nikt już nieośmielił się wracać. W ten sposób, partya konserwatywna wyciągnęła burżuazyi przemysłowej rękę do zgody, i fabrykanci coraz tłumniej zaczynają zaciągać się pod sztandar torysów.

Jednem słowem obie partye stały się partyami zjednoczonej burżuazyi ; zdawałoby się, potrzeba istnienia dwóch odrębnych partyi znikła, a jednak partye te istnieją do dzisiaj, prowadzą walkę zażartą i — nie dość tego — zmiany rządów, przechodzenie steru władzy od konserwatystów do liberałów i napowrót, stały się w XIX w. częstsze, niż dawniej.

Żeby to zrozumieć, przypatrzmy się jeszcze raz w krótkości historyi obu partyi. Partya konserwatywna jest najpierw partyą władzy królewskiej, arystokracyi dworskiej i duchowieństwa anglikańskiego; potem partyą władzy królewskiej, arystokracyi dworskiej i drobnych posiadaczy ziemskich; potem partyą tylko duchowieństwa anglikańskiego i drobnych posiadaczy ziemskich (czas największej jej słabości) ; potem duchowieństwa anglikańskiego, drobnych posiadaczy ziemskich i wielkiej burżuazyi kupieckiej, wreszcie w ciągu XIX wieku łączy się z nią i znaczna część burżuazyi przemysłowej. Natomiast partya whigów składa się na początku z duchowieństwa drobnych sekt protestanckich (tak zwanych dysydentów), części arystokracyi i ludności miejskiej ; potem z duchowieństwa dysydenckiego i wielkiej burżuazyi w sojuszu z rosnącą burżuazyą przemysłową; potem z duchowieństwa dysydenckiego, części wielkiej burżuazyi kupieckiej i burżuazyi przemysłowej — w sojuszu z miejską klasą robotniczą. Ten ostatni sojusz właśnie nie pozwolił partyi liberalnej zniknąć z powierzchni ziemi i zlać się partyą konserwatywną.

Ma się rozumieć, od czasu jak Anglia istnieje, ba, od czasu jak istnieje społeczeństwo podzielone na klasy, różne klasy uprzywilejowane zawierały „sojusze“ z ludem pracującym, tj., korzystały dla swoich celów z jego pięści. Odkąd istnieje podział społeczeństwa na klasy, widzimy, że w walkach między różnemi klasami, żyjącemi z pracy ludu, lud ten dobrowolnie lub przymusowo służy jako tarcza i jako miecz swoim panom i wyzyskiwaczom, gdy ci się biorą między sobą za łby. Lud pracujący jest wtedy tylko ślepem narzędziem. Ale

sojusz klasy robotniczej angielskiej z partyą liberalną jest innego rodzaju.

Ma się rozumieć, i partya konserwatywna ma też „swoich robotników“. W tej chwili np. rządzi w Anglii ministeryum konserwatywne, to znaczy, że w parlamencie jest większość konserwatystów. Któż ich posłał do parlamentu? Przeważnie robotnicy, bo ci stanowią większość narodu. Jednak ten „sojusz“ z partyą konserwatywną zawarli robotnicy tacy, którzy nie rozumieją wartości głosu do parlamentu, którzy gotowi są go sprzedać chociażby za szklankę piwa lub za piękne słówko fabrykanta czy księdza, którzy nie rozumieją godności swej klasy a kapitalistę uważają za istotę wyższą i rozumniejszą. Inni są robotnicy, należący do partyi liberalnej.

Już zgórą sto lat temu widzimy robotników razem z przemysłową burżuazyą w partyi radykalnej. W 1794 r. na czele ruchu rewolucyjnego w Londynie widzimy subjekta Adamsa, szewca Hardy'ego i fryzyera Loveita. Republika, oparta na powszechnem i równem głosowaniu, była ich celem; za nimi stały ogromne masy robotników londyńskich, i nie ulega wątpliwości, że zmiana tego rodzaju w ustroju państwowym, jakkolwiek bynajmniej nie wyczerpuje dzisiejszych naszych żądań, byłaby nietylko wówczas, ale i dziś bardzo pożyteczna dla klasy robotniczej w Anglii.

Odtąd we wszystkich ruchach partyi radykalnej i późniejszej zjednoczonej partyi liberalnej spotykamy klasę robotniczą, i to właśnie część jej, dążącą do udziału w rządach państwem i świadomie broniącą swych — tak czy inaczej pojmowanych — klasowych interesów.

Gdy reforma 1832 r. dała udział w rządach tylko burżuazyi a robotników po dawnemu zostawiła z niczem, gdy wódz partyi liberalnej Lord J. Russell oświadczył, że dalszych reform wcale nie trzeba i w ten sposób uroczyście zamknął drzwi parlamentu przed nosem robotników, zdania w proletaryacie angielskim się podzieliły. Część spodziewała się, że dobije się swego bez własnego udziału w parlamencie; spodziewała się ona, że burżuazya sama będzie się opiekowała interesami robotników, jak w XVIII w. burżuazya kupiecka opiekowała się burżuazyą przemysłową. Pod wpływem tej, ma się rozumieć, dziecinnej nadziei część robotników duszą i ciałem oddała się, pod wodzą burżuazyi, agitacyi poza parlamentem przeciwko cłom zbożowym. Część zaś wypowiedziała sojusz partyi liberalnej i utworzyła partyę czartystów, czyli zwolenników programu robotniczego, tak zwanej karty (po angielsku, „czart“ znaczy karta) robotniczej. Czartyści zaczęli od tych samych żądań, co rewolucyoniści końca XVIII w., — powszechnego głosowania itp., a wkrótce doszli prawie do żądań dzisiejszego socyalizmu.

Ale ruch czartystów zgnieciono, a dzięki rozwojowi przemysłu po 1848 r. robotnikom zaczęło się stosunkowo nieźle dziać pod rządami burżuazyi. Powrócili więc do partyi liberalnej, jednak nie zapominając o żądaniach praw do rządu dla siebie. Partya liberalna musiała żądania te uznać za swoje, i ten sam Lord J. Russell, który zapowiadał w 1832 r. koniec reformom wyborczym, musiał postawić

projekt prawa, dającego głos wyborczy robotnikom. Torysi coprawda oparli się temu, ale gdy przyszli do władzy, to pod naciskiem liberałów musieli w 1867 r. prawo to dać robotnikom. Odtąd widzimy w parlamencie angielskim stale pewną liczbę przedstawicieli robotniczych, którzy bez wyjątku należą do partyi liberalnej. Ich to obecność stanowi najpoważniejszą przyczynę do istnienia odrębnej partyi liberalnej. Dzięki nim partya liberalna stawia różne projekty praw pożytecznych dla robotników i czasami — o ile torysi nie przeszkodzą — je przeprowadza.

Widzieliśmy jednak, że i torysi potrafią dać prawo pożyteczne dla klasy robotniczej; takiem prawem była reforma wyborcza 1867 r., takiem prawem jest zeszłoroczna ustawa o odszkodowaniu robotników za wypadki przy pracy, również przeprowadzona przez ministeryum konserwatywne. Ma się rozumieć, z żądaniami klasy, stanowiącej większość narodu, każda partya liczyć się musi. Jednak jest ta różnica, że projekt nieomal każdego takiego prawa najpierw stawiają liberali, torysi mu się zawsze opierają i często uniemożliwiają jego przeprowadzenie za pomocą Wyższej Izby Parlamentu (Izby Lordów), w której przez cały XIX w. mają stałą większość. Dopiero gdy przychodzą do władzy i widzą, że żądanie takiego prawa stało się już zbyt gwałtowne, zmuszeni są sami je przeprowadzić.

Widzieliśmy, że każda z tych partyi opiera się na połączeniu różnych warstw społecznych. Można nawet twierdzić, że każda z tych partyi jest połączeniem kilku partyi. Tak powiadają, że już w 1837 r. w parlamencie było 6, nie zaś 2 partye. Od tego czasu kapitalizm wytworzył jeszcze więcej interesów sprzecznych w społeczeństwie i dziś znaleźlibyśmy w ten sposób w parlamencie angielskim z kilkanaście partyi, bo każde prawie dążenie społeczne ma tam pewną ilość swych zwolenników. Teraz np. w czasie, gdy cała Europa burżuazyjna rzuciła się — jak kruki — na Chiny, w parlamencie powstała osobna grupa dla obrony interesów burżuazyi angielskiej handlującej z Chinami. Partya ta, składająca się z konserwatystów, więcej zrobiła kłopotów rządowi konserwatywnemu przy rozprawach nad kwestyą chińską. niż partya liberalna. Jednak gdy chodzi o kwestyę władzy, kto ma być u steru rządów, wtedy widzimy w parlamencie dwie tylko partye. Żeby zrozumieć, dlaczego tak jest, musielibyśmy się zagłębić w konstytucyę angielską. Dziś jednak zwrócimy tylko uwagę, że dla celów polityki angielskiej jedynie ważny jest podział na dwie partye.

Ale zato jeżeli pamiętamy, że każda z dwóch partyi jest połączeniem różnych grup, to zrozumiemy, dlaczego tak często zmieniają się one u steru rządów. Dość niezadowolenia większości ludu z jednej tylko grupy należącej do partyi liberalnej lub konserwatywnej, by przechylić często szalę większości przeciwko całej tej partyi. Tak np. grupa zwolenników ograniczenia swobody wyszynku, należąca do partyi liberalnej, ściągnęła w 95 r. gniew większości wyborców na całą partyę liberalną. Teraz znowu przy ostatnich wyborach w londyńskiej dzielnicy Stepney zwyciężył liberalny kandydat robotniczy może głównie dlatego, że jest przeciwnikiem przymusowego szczepienia ospy itp.

Przy takiem połączeniu różnych grup trudno jest wypracować jakiś program, obowiązujący całą partyę. To też ani liberali ani konserwatyści żadnego programu urzędowego nie mają, tylko przy każdych wyborach wystawiają hasła, które im się wydają w danej chwili najodpowiedniejsze.

Nie dość tego, jeżeli pamiętamy, iż każda z tych dwóch wielkich partyi składa się z różnych grup, to zrozumiemy także, dlaczego wielu ludzi nie widzi żadnej różnicy między temi dwoma partyami. Istotnie porównajmy grupę stojącą najbardziej na lewo w partyi konserwatywnej z grupą stojącą najbardziej na prawo w partyi liberalnej, różnicy prawie żadnej nie znajdziemy. Ale ma się rozumieć, taki sposób porównania jest niesłuszny.

Jednak chociaż obie partye składają się z różnych grup, to torysi mają tę wyższość, że z obowiązku bronić muszą tylko jednej klasy — burżuazyi. Liberali zaś muszą starać się o zadowolenie i burżuazyi i robotników. Łapią więc dwie sroki za ogon i ma się rozumieć na takiem polowaniu coraz gorzej wychodzą. Ciekawe jest, że w XVIII wieku większość Izby Lordów była zawsze whigowską, to jest, liberalną; w XIX wieku jest ona zawsze konserwatywną. Dowodzi to, że wielka burżuazya stanowczo już tyłem odwróciła się do liberałów, a zarazem przeszkadza to nieraz liberałom w przeprowadzeniu niejednego prawa.

Torysi jako partya bardziej jednolita mają też i lepszą dyscyplinę partyjną. Gdy przywódcy torysów zdecydują się na jakieś prawo — chociażby nieprzyjemne dla burżuazyi — to ta ze stękaniem i westchnieniami zgadza się na nie jednak odrazu. Burżuazya ufa przywódcom torysów, wie, że ci tylko na jej interesy baczą. Jeżeli więc wodzowie konserwatywni zdecydowali się na jakąś reformę, to widać na seryo już niema rady, i za reformą — z bólem serca, ale — głosują torysi w Izbie Gmin i większość w Izbie Lordów. Ma się rozumieć i partya liberalna też głosuje za nią, bo zwykle reforma taka oddawna już stanowiła jej hasło i przez nią była wprowadzona na porządek dzienny. Taki los np. spotyka prawo o samorządzie prowincyonalnym dla Irlandyi, które w chwili obecnej rząd torysów przedstawił parlamentowi.

U liberałów takiej dyscypliny niema. Nieraz członkowie partyi buntują się przeciwko przywódcom, sądząc, że ci zadaleko posuwają się i robią ustępstwa robotnikom bez potrzeby. Z drugiej strony robotnicy też nieraz niezadowoleni są, że dostali zamało. Świadomość klasy robotniczej coraz bardziej rośnie, a zarazem rosną i jej żądania. Przyjdzie czas, że liberali będą musieli zdecydować się na jedną albo na drugą stronę.

Wielu sądziło, że czas ten nadszedł już w 1895 r., gdy partya liberalna została przy wyborach pobita na głowę. Sądzono, że to koniec tej partyi. Ale nadzieje były zbyt pośpieszne. Urządzenia, powstałe w ciągu długich lat historyi, trzymają się w Anglii uporczywie. Przy tem z jednej strony znaczna część proletaryatu angielskiego żąda do dziś tylko polepszeń obecnego ustroju, nie zaś jego zniesienia, więc

może jeszcze pod pewnymi warunkami godzić się z burżuazyą. Z drugiej strony burżuazya do dziś utrzymuje finansowo partyę liberalną, a więc może się nie obawiać zbyt szybkiego wymknięcia się tej partyi z pod jej kontroli.

Większość robotników angielskich widzi do dziś w partyi liberalnej najlepsze narzędzie do urzeczywistnienia swych celów klasowych. Ale od kilkunastu lat powstała tu już i partya socyalistyczna. Idzie ona w ślady czartystów i ani słuchać nie chce o sojuszu z liberałami. O tej partyi pomówimy w osobnym artykule.

B. A. J.

PRZEGLĄD PRASY

ANGLIA

„Social Democrat“ (Socyaldemokrata).

Quelch. H. Federacya związków zawodowych (N^0 1 r. b.)

Porażka olbrzymiego strejku mechaników angielskich, należących do jednego z największych i najbogatszych związków zawodowych, zwróciła uwagę całego świata robotniczego w Anglii na to, że trzeba szukać środków do wzmocnienia sił tych związków. Redakcya pisma „Clarion“ wystąpiła z projektem połączenia wszystkich związków zawodowych Anglii w jedną federacyę. Zaczęła się agitacya i na ostatnim zjeździe angielskich związków zawodowych polecono t. zw. Komisyi Parlamentarnej wypracować projekt federacyi. Od federacyi związków zaczynają teraz oczekiwać niesłychanych rzeczy, ma ona zapobiedz raz na zawsze niepowodzeniom strejków, bo zapewni każdemu strejkowi pomoc jakoby niewyczerpalnych funduszów kasy federacyi. Otóż istotnie, jeśli strejk będzie mały i krótki, to fundusze federacyi mogą wydawać się dla niego niewyczerpalne. Bywają jednak strejki, w których — jak w strejku węglarzy z 1893-94 r. — bierze udział pół miliona robotników, t. j., ćwierć wszystkich robotników angielskich należących do związków (około dwóch milionów). Taki strejk może być i dla najbogatszej federacyi poważnym ciężarem. Nie dość tego: kapitaliści dla rozbicia organizacyi mogą zdecydować się nawet na wywołanie strejku całej federacyi, do której będzie należało 2 miliony robotników, bo na razie mogą się zadowolnić pracą 4 milionów robotników niezorganizowanych, nie należących do żadnych związków. Przytem jeżeli teraz zakładają federacyę wszystkich związków robotniczych dlatego, że w strejku mechaników jeden związek robotniczy został zwyciężony przez jeden związek kapitalistów, to co będzie, gdy i kapitaliści połączą wszystkie swe związki w jedną federacyę? Zrobić to mogą, a wtedy stosunek sił kapitalistów do robotników będzie ten sam, co przed tem, t. j. kapitaliści będą mieli przewagę. Pamiętajmy, że w dzisiejszym ustroju kapitalista ma zawsze przewagę nad robotnikiem. Tylko walka polityczna, tylko socyalizm może to zmienić. Nie przesadzajmy więc znaczenia federacyi.

Ale też nie powinniśmy znaczenia jej zbyt lekceważyć. Każdy związek zawodowy przynosi pewne korzyści robotnikowi, tembardziej więc pożyteczna będzie federacya. Jednak na to, by federacya przyniosła korzyści, trzeba by ona była nie zabawką papierową, a poważną organizacyą. Trzeba na pojedyńcze związki włożyć obowiązek regularnego płacenia do kasy federacyi s t a ł e j wkładki zależnie od ilości członków związku. W ten sposób wytworzy się fundusz centralny stały. Jeżeli by takiego funduszu nie było, gdyby — jak to proponuje „Clarion“ — związki musiały płacić dopiero w czasie strejku, to napewno nie jeden związek wystąpiłby z federacyi po wybuchu jakiegoś większego bezrobocia,

żeby uniknąć ciężarów na strejk w innym fachu. Ale jeśli ze składek wytworzy się stały fundusz, to taki związek będzie się bał opuścić szeregi federacyi w czasie walki, gdyż straciłby wtedy prawo do funduszów, na które sam się składał. Wsparcia z kasy federacyi należy dawać tylko takiemu strejkowi, który został uchwalony lub zatwierdzony przez radę całej federacyi, nie zaś przez radę jednego związku.

Jednem słowem, na to by federacya stała się poważną podporą ruchu robotniczego — pojedyńcze związki muszą zrzec się części swych swobód, swego samorządu. Ale tak samo pojedyńczy robotnik, chcąc mieć korzyści, jakie daje jeden jakiś związek zawodowy — musi zrzec się pod pewnymi względami swobody postępowania i poddać się dyscyplinie związku.

Quelch H. Czego nas uczy bezrobocie mechaników? (N^0 2 r. b.)

Strejk mechaników angielskich zakończył się przyjęciem przez robotników następującej umowy z kapitalistami: 1) Przedsiębiorca ma prawo zaprowadzać u siebie bez żadnego oporu robotników warunki, które w jakimś innym zakładzie już zostały przyjęte przez robotników, należących do związku fachowego; 2) Przedsiębiorcy mają prawo zaprowadzać płacę od sztuki; 3) Przedsiębiorcy mają prawo dowolnie umawiać się z robotnikami co do wysokości płacy. Nie zaprzeczają związkom zawodowym prawa ustanawiania cennika obowiązującego członków związku, ale sami nie podejmują się z góry pilnować tego cennika, natomiast zastrzegają sobie, by związek mechaników nie mieszał się do płac, branych przez nie-członków związku; 4) Przedsiębiorcy mają prawo przyjmować uczni, ile im się podoba, i dawać pracę przy maszynach komu się podoba; 5) Praca po fajerancie może dochodzić do sumy 40 godzin w ciągu czterech tygodni.

Warunki te znaczą po prostu pozbawienie związku mechaników prawa mieszać się we wszystkie sprawy, które każdy związek robotniczy muszą obchodzić. Coprawda, umawiać się z fabrykantem co do płacy i czasu pracy robotnicy mogą po dawnemu gromadnie (nie zaś pojedyńcze jednostki), ale zawierać taką gromadną umowę mają prawo już tylko robotnicy danego zakładu, urzędnicy zaś związku robotniczego nie mają prawa żądać od kapitalisty, by on z nimi pertraktował. Jeśli zaś ci urzędnicy koniecznie chcą wpłynąć na warunki umowy, to muszą udawać się nie do danego kapitalisty, lecz do związku kapitalistów. Co gorsza, urzędnikom związku robotniczego odmówiono wszelkiego głosu w określeniu płac i warunków pracy robotników niezwiązkowych. Jednem słowem, jest to kompletna porażka strejku i związku mechaników.

Z całego przebiegu strejku widać, że kapitaliści chcieli bezrobocia, chcieli walki. Coprawda, strejk jest czasem rzeczą nieuniknioną, ale już to, że wybucha on prawie zawsze wtedy, gdy kapitaliści tego chcą, powinno nauczyć robotników unikania strejków o ile tylko można. To pierwsza nauka z bezrobocia mechaników.

Niektórzy powiadają, że ponieważ strejki się nie udają, to trzeba je zastąpić sądem rozjemczym. Otóż by sąd taki miał jakieś znaczenie, musi on być przymusowym, obowiązkowym. A to by znaczyło, że robotnicy nie mieliby prawa nigdy strejkować. Jednak chociaż strejki nie są pożądane, wyrzekać się ich raz na zawsze znaczyłoby wyrzec się wszelkiej swobody działania. Robotnicy zaś niewiele by na tem zyskali, bo przed sądem takim kapitalista potrafiłby sprawę jeszcze lepiej obronić, niż oni.

Inni znów twierdzą, że federacya wszystkich związków robotniczych mogłaby zapobiedz bezrobociom albo zapewnić robotnikom zwycięstwo. Otóż żadne połączenie się robotników nie może dorównać w siłach takiemu samemu połączeniu się przedsiębiorców. Związki robotnicze sfederowane będą silniejsze niż wzięte pojedyńczo, ale nie staną się wszechmocnymi.

Zatem pozostaje jedno wyjście: walka polityczna, socyalizm. To druga nauka, którą robotnicy powinni wyciągnąć z ostatniego strejku. Gdyby pieniądze, wydane na strejk, — prawie milion funtów (10 milionów rubli) — były użyte na walkę polityczną, to 8-godzinny dzień roboczy byłby już zapewniony prawem, i to nietylko dla mechaników, ale dla wszystkich robotników.

Jeszcze jedną naukę powinni mechanicy wyciągnąć ze swej porażki. Nie udało się im zachować swego uprzywilejowanego stanowiska. Kapitaliści zastrzegli sobie prawo używać przy maszynach kogo im się podoba, zatrudniać uczni, ile zechcą. Im bardziej będzie się rozwijał kapitalizm, im dalej będą szły wynalazki maszyn, tem mniej będzie miał znaczenia robotnik „fachowy", robotnik „wyuczony", i tem mniej będzie się on mógł uważać za coś lepszego od prostego wyrobnika. Przebieg ostatniego strejku powinien mechanikom wykazać, że nie w wywyższaniu się nad „prostych" robotników, nie w odgradzaniu się od nich leży zbawienie, lecz w solidarności wszystkich pracujących.

* *
*

NIEMCY

„Die Neue Zeit" (Nowe Czasy).

Bernstein E. Walka mechaników a zjazd związków zawodowych w Birminghamie (N^0 1 r. b.)

Bernstein E. Walka mechaników angielskich (N^0 15 i 21 r. b.)

Bernstein E. Prawo do odszkcdowania robotników zastąpionych przez maszyny (N^0 25 r. b.)

Bernstein pisze w wyżej wymienionych artykułach o tem samem bezrobociu, o którem mówi Quelch. Ale Bernstein zapatruje się na sprawę z innej strony, mianowicie w sposób następujący.

Walka mechaników rozpoczęta została w chwili najodpowiedniejszej, w warunkach bardzo dogodnych dla robotników. Przemysł wyrobów metalowych wogóle, a zwłaszcza maszyn, w ostatnich paru latach idzie w Anglii bardzo dobrze: fabrykantom obstalunków nie brak. Przytem, przystępując do walki, związek robotniczy miał w kasie bardzo poważną sumę 3 i pół miliona rubli. Wreszcie mechanicy znaleźli poparcie u ogółu robotników i u zjazdu związków w Birminghamie. Niesłusznem jest twierdzenie, że fabrykanci naumyślnie strejk wywołali. Długo oni pertraktowali z robotnikami i pojednawczo przestrzegali ich przed pewnymi krokami. Coprawda odmówili poddania się sądowi polubownemu, ale często i robotnicy sami nie chcą mieszania się osób postronnych do zatargu ich z kapitalistami. Sąd polubowny wogóle potrzebny jest tylko tam, gdzie chodzi o kwestye nowe, co do których w stosunkach między kapitałem a pracą nie utrwaliło się jeszcze żadnego zwyczaju. A w tym wypadku fabrykanci nie chcieli dopuścić właśnie do postawienia żadnych nowych, niezwykłych kwestyi. Niesłusznie też twierdzą niektórzy, że związek fabrykantów chciał za pomocą wymuszonej na robotnikach walki rozbić związek robotniczy. Fabrykantom takie zamiary do głowy nawet nie przychodziły. Coprawda nie dlatego, by się unosili jakiemś dobrem sercem, lecz po prostu dla tego, że dobrze rozumieli, jak trudne lub niemożliwe byłoby to zadanie.

Robotnicy byli w całym tym zatargu stroną zaczepną. Porażka więc ich nie jest bynajmniej uszczupleniem dotychczasowego znaczenia związku, a tylko odparciem próby *rozszerzenia* wpływu związku. Ale bądź co bądź porażka porażką zostaje i przypisać ją należy — po pierwsze wadom w organizacyi związku, zbytniej swobodzie działania na własną rękę, którą mają poszczególne oddziały, oraz po drugie — oziębłym stosunkom, jakie panują między związkiem mechaników a innymi związkami robotniczymi pokrewnych zawodów. Bardzo złe też było, że fabrykantom udało się sprowadzić kwestyę z gruntu ośmiogodzinnego dnia roboczego na grunt zupełnie innych żądań robotniczych, żądań często niemożliwych do przeprowadzenia a jeszcze częściej wstecznych. Żądania te są to — po pierwsze zniesienie płacy od sztuki, po drugie t. zw. odszkodowanie robotnika za straty, które mu przyn·si zaprowadzenie nowych, ulepszonych maszyn. Co do pierwszego — to wśród ogółu zorganizowanych robotników angielskich 573.000 wyraźnie *żądają* płacy od sztuki, 140.000 zgadzają się na nią, a tylko 290.000 (w tem głównie robotnicy budowlani — i związek mechaników) opierają

się jej; dość jest wskazać na te cyfry, by zrozumieć, że nie wszędzie i nie zawsze można domagać się płacy od dnia lub godziny, i że nie wszędzie i nie zawsze zniesienie płacy od sztuki jest dla robotnika pożądane. Co do drugiego żądania, to mechanicy chcieli, 1) by tam, gdzie zaprowadzenie lepszych maszyn pozwala jednemu robotnikowi obsługiwać dwie maszyny na raz, po dawnemu do każdej maszyny trzymano osobnego robotnika 2) by tam, gdzie ulepszona maszyna może być kierowana przez prostego robotnika, po dawnemu zatrzymano robotnika wykwalifikowanego i płacono mu dawną wysoką płacę i t. p. Jednem słowem — robotnicy chcieli, by fabrykanci nie mieli żadnego zysku z zaprowadzenia nowych maszyn. Ma się rozumieć, że w takich warunkach fabrykanci tych maszyn wcale by nie zaprowadzali. Gdy się zaczęła walka pod hasłem 8-god. dnia roboczego, ci z fabrykantów, którzy opierali się tej reformie, twierdzili, że to uniemożliwiłoby im wytrzymanie konkurencyi z Ameryką. Wówczas jeden z przywódców robotniczych odparł, że Ameryka zwycięża Anglię nie długością dnia roboczego, lecz ulepszonemi maszynami. Fabrykanci przyznali mu racyę, ale zaczęli domagać się, by związek robotniczy pozwolił i im w ten sam sposób korzystać z maszyn, jak korzystają z nich w Ameryce. Wogóle wszelkie ograniczenia w swobodzie korzystania z maszyn, dopókąd odbywają się w jednem państwie, utrudniają temu państwu konkurencyę z innemi, tamują rozwój przemysłu, a przez to pogarszają i położenie samych robotników.

Słusznie coprawda mówi stary socyalista chrześciański Ludlow, że gdy maszyna odbiera robotnikowi pracę, jedyne źródło jego zarobku, jedyną jego własność, to robotnik ma takie samo prawo na odszkodowanie, jak np. fabrykant, któremu zabierają grunt celem budowania kolei. Ale chodzi o to, w jaki sposób to odszkodowanie określić i udzielić? W fabryce wodza związku fabrykantów maszyn, pułkownika Dyera, odszkodowanie to faktycznie istnieje: każdy robotnik wykwalifikowany, który traci pracę, w skutek zaprowadzenia maszyny, zaraz dostaje inną pracę. Ale nie każda fabryka jest tak wielka i tak dobrze idzie, jak fabryka Dyera. Przytem jeżeli będziemy patrzyli tylko na sprawiedliwość, to takie samo prawo na odszkodowanie, co robotnik, ma i drobny majsterek i nawet drobny fabrykant, którego zabija konkurencya ulepszonych maszyn wielkiego kapitału! Na gruncie dzisiejszego porządku społecznego niema wyjścia z tych wszystkich powikłań.

Cunow H. Ekonomiczne podstawy prawa macierzyńskiego (N⁰ 4, 5, 6, 7 i 8 r. b.)

W społeczeństwie dzisiejszem mężczyzna jest istotą uprzywilejowaną, dzieci noszą nazwisko ojca, ojciec jest głową rodziny, i wogóle mężczyzna ma prawa społeczne większe niż kobieta. Nie zawsze jednak tak było. Jeżeli zajrzymy do znanej każdemu książeczki Z. R. Walczewskiego „Społeczeństwo Rodowe“, to wyczytamy, że w dawnych czasach „pomiędzy mężczyzną a kobietą nie istniało jeszcze głębokiego przedziału. Kobieta słabsza od natury ... od początku zaczęła spełniać roboty lżejsze i domowe, jednak ... brała udział i w męskich zajęciach ... U irokezów wszystkie pokarmy ... należące wspólnie do całego rodu były składane w publicznych magazynach pod zarządem *kobiety* ... W radzie rodowej każda osoba dorosła, mężczyzna czy *kobieta*, posiadała głos we wszystkich sprawach. Jeżeli do tych słów Walczewskiego dodamy, że w tych samych czasach dzieci brały nazwisko po matce, to zrozumiemy, na czem polegało prawo macierzyńskie.

Cunow objaśnia, skąd się wzięło to prawo i dla czego potem zniknęło, w następujący sposób.

Wszystkie urządzenia społeczne zależą od sposobów prowadzenia gospodarki w społeczeństwie, to jest, od tego, w jaki sposób i za pomocą jakich środków członkowie społeczeństwa zdobywają sobie środki do życia. Od tych przyczyn także zależy rodzina ludzka i położenie kobiety w społeczeństwie. Powszechnie sądzą, że prawo macierzyńskie, równe prawa a czasem nawet przewaga kobiety w społeczeństwie, spotykają się już w najdawniejszych czasach, u ludów najdzikszych i najbardziej zacofanych w gospodarce. Ale to zdanie jest mylne.

Najwcześniejszym sposobem zdobywania środków do życia, najdawniejszym rodzajem gospodarki jest myśliwstwo. Spotykamy je u ludów najdzikszych, które

żyją małemi hordami, rozrzuconemi na wielkiej przestrzeni. Do jednej hordy należy 20, najwyżej 200 ludzi, bo większe kupy samem polowaniem wyżywić by się nie mogły. Każda taka horda uważa za swoją wspólną własność pewną przestrzeń ziemi, na której ciągle koczuje. W każdej hordzie istnieją trzy grupy ludzi mniej więcej jednego wieku: starzy, średniego wieku i dzieci. Członek jednej takiej grupy nie może zawierać stosunków małżeńskich z członkiem drugiej grupy. Nie dość tego : nawet w obrębie jednej grupy ani bracia rodzeni z siostrami, ani bracia cioteczni, stryjeczni lub wujeczni z siostrami, ani nawet dzieci takich kuzynów nie mogą ze sobą się żenić. Skąd powstały takie zakazy, tego dziś trudno dojść. Ale ponieważ hordy są bardzo niewielkie, to przy takich zakazach nader trudnem się staje zawieranie małżeństwa w obrębie jednej hordy. Wchodzi więc w zwyczaj a z czasem staje się wprost obowiązkiem — szukać sobie żony w innej hordzie. Zakaz małżeństw między rodzeństwem ciotecznem, stryjecznem i wujecznem pozostaje po dawnemu. Tymczasem rodzeństwo to — wobec tego że matka pochodzi z innej hordy — znajduje się już w dwóch hordach i często nawet nie zna się między sobą. Wypełniać zakaz w obrębie jednej hordy — np. między rodzeństwem stryjecznem — było łatwo, bo tu wszyscy się znają i pamiętają, jakie pokrewieństwo ich łączy. Ale teraz — zwłaszcza po śmierci matki — byłoby trudno albo niemożliwe pilnować się takiego zakazu, gdyby dzieci nie nosiły imienia matki. Imię takie służy im do rozpoznania swych krewnych w innej hordzie. Staje się więc powszechnym zwyczajem, że dzieci biorą imię po matce. Jest to niby już początek prawa macierzyńskiego, ale tylko z pozoru. W gruncie rzeczy panuje tu prawo ojcowskie, panowanie mężczyzny: kobieta idzie za mężem do jego hordy, staje się jego własnością (mąż zwykle kupuje ją lub gwałtem porywa), dzieci zostają w hordzie ojca i on — nie zaś matka — niemi się rozporządza.

U ludów myśliwskich ojciec, mężczyzna jest więc panem w rodzinie. Pochodzi to stąd, że on utrzymuje rodzinę. Myśliwstwo jest pracą męską. Jednak i kobieta jest pożytecznym członkiem rodziny, do niej należy: budowanie szałasów, noszenie ciężarów w czasie ciągłych wędrówek koczującej hordy, zbieranie do jedzenia owadów i korzonków itp. Ale nie są to rodzaje pracy, od których zależy byt rodziny. To też mężczyzna korzysta ze swej siły, swego położenia w gospodarce rodzinnej, i potrafi zawsze — głodem czy pięścią — zmusić kobietę do posłuszeństwa i uległości. Jeszcze jedna jest przyczyna poddaństwa kobiet u ludów myśliwskich: ponieważ pracę ich mało cenią, więc ojciec chętnie pozbywa się córki z domu (natomiast stara się syna — myśliwca — jak najdłużej utrzymać przy sobie); dziewczyna idzie do hordy męża, między ludzi obcych sobie, którzy zawsze stają po stronie nie jej, — lecz męża.

Niektóre ludy do dziś pozostały na tym najdzikszym szczeblu rozwoju i żywią się głównie z myśliwstwa. Ale większość — dzięki różnym warunkom, głównie z powodu braku zwierzyny, musiała się obejrzeć za innymi sposobami do życia. Tam, gdzie było łatwo oswoić zwierzęta i utrzymać na pastwisku wielkie ich stada, tam chwycono się pasterstwa. Był to postęp, bo pasterstwo dawało pokarm daleko pewniejszy i stalszy, niż myśliwstwo. Ale postęp ten bardzo źle wpłynął na położenie kobiety. Pasterstwo wymagało wówczas sił nieomal tego samego rodzaju, co myśliwstwo. Trzeba było przedewszystkiem pilnować bydła przed napadami drapieżnych zwierząt. Następnie trzeba było szukać pastwisk daleko od domu (a raczej szałasu), tymczasem kobieta od natury zmuszoną była pilnować domu. Utrzymało się też po dawnemu życie koczownicze, bo dla bydła szukano coraz świeższych pastwisk. Jednem słowem, praca kobiety przy pasterstwie nic nie zyskała na wartości, owszem, nieraz nawet straciła. To też położenie kobiety u ludów pasterskich jest zwykle jeszcze gorsze, niż u ludów myśliwskich. O właściwem „prawie macierzyńskiem" niema nawet i mowy, chociaż zwyczaj dawania dziecku imienia po matce u niektórych ludów pasterskich utrzymał się z tych samych przyczyn, o jakich już mówiliśmy.

Jednak nie wszędzie rozwój społeczny poszedł w kierunku pasterstwa. W wielu miejscach — a przedewszystkiem w Ameryce — nie było zwierząt, które nadawałyby się do oswojenia lub przynosiły po oswojeniu taki pożytek, jak nasze krowy i owce. W miejscach takich zwrócono uwagę na rośliny. Dopóki myśliwstwo wystarczało do życia, dotąd nie bardzo dbano o korzonki,

zbierane przez kobiety. Ale gdy przyszły ciężkie czasy, zabrano się do uprawy roślin (w Ameryce przedewszystkiem — kukurydzy). Zwrócono się z początku do roślin już znanych. Uprawa ich była dość lekka, tak że siły kobiece mogły jej podołać. To też pierwotne rolnictwo, jak dawniej zbieranie dzikich owoców, jagód i korzonków, pozostało w rękach kobiecych. Mężczyzni pomagali tylko przy karczowaniu pola. Głównem ich zajęciem było po dawnemu myśliwstwo. Ale myśliwstwo teraz coraz mniejsze miało znaczenie, rolnictwo natomiast coraz bardziej stawało się jedynym pewnym środkiem do życia i coraz bardziej się rozwijało. Stosownie do tego zmieniło się i położenie kobiety.

Przedewszystkiem zaczęto w rodzinie cenić pracę **córki** Dawniej chętnie się jej pozbywano, teraz chcianoby ją zatrzymać. To też kobieta, niezadowolona z męża, śmiało może go porzucić, pewna, że rodzice i bracia przyjmą ją napowrót z otwartemi objęciami. Jako utrzymująca rodzinę, zabiera ona w takich wypadkach ze sobą dzieci, i nikt nie śmie jej się w tem sprzeciwić. W ten sposób władza nad dziećmi przechodzi od ojca do matki. Wkrótce dochodzi do tego, że matka jako głowa rodziny umawia się o żonę dla swego syna — dawniej robił to ojciec. Z czasem coraz częściej mąż ulega namowom żony, która chce zostać tam, gdzie się urodziła i wychowała; zamiast zabierać żonę ze sobą, idzie za nią do jej rodu. Później gdy praca mężczyzny jeszcze bardziej traci na znaczeniu, żonie już nawet nie chce się ciągnąć męża za sobą; zostaje ona na miejscu, mąż tak samo i tylko odwiedza żonę. Jest to ostateczne uwolnienie się żony od wpływu męża i ostateczne potwierdzenie wyłącznej jej władzy nad dziećmi. Naturalnie dzieci obejmują wtedy spadek tylko po matce, (i jej braciach), dobytek zaś ich ojca przechodzi na jego siostrę (i jej dzieci).

Za czasów myśliwskich człowiek nie mógł swą pracą pomnożyć źródeł swego utrzymania. Rozmnażanie się hordy ludzkiej przyśpieszało tylko wytępienie zwierzyny. Hordy musiały więc być małe. Teraz natomiast przygotowywanie ziemi pod uprawę, karczowanie, ogradzanie pól, przeprowadzanie rowów itd. wymagało wspólnej pracy wielu ludzi. Ludzie zaczęli się skupiać coraz większemi gromadami, rodami i plemionami. Potworzyły się wioski. W wioskach tych pierwszeństwo należało do kobiet.

Tak wyglądało prawo macierzyńskie u irokezów, plemienia czerwonoskórych indyan Ameryki. Oto co dalej Cunow opowiada o irokezach: „Mąż mieszkał osobno od żony, ale jeżeli chciał zabezpieczyć sobie łaski swej połowicy, to musiał jej od czasu do czasu przynosić zwierzynę... Mąż nie miał żadnego prawa do majątku żony, ani żadnej władzy nad dziećmi. Po śmierci kobiety dobytek jej dziedziczyły jej dzieci, a raczej jej córki, bo synowie nie wiedzieliby co robić z ubraniem i narzędziami rolniczemi ich matki. Po śmierci mężczyzny spadek przechodził do jego braci i synów jego sióstr."

Kobiety, mając w swem ręku zarząd gospodarki w osadzie i rozporządzając się zapasami żywności, miały też wielki wpływ na wszystkie sprawy publiczne. Tak np. u plemienia wyandotów kobiety stały na czele całego rządu. Plemię to dzieliło się na jedenaście rodów, a w każdym rodzie były cztery osady. Na czele każdej osady stała gospodyni-kobieta. Cztery takie gospodynie wybierały z pośród siebie jedną przełożoną rodu — kobietę oraz wyznaczały z pośród najstarszych i najbardziej szanowanych mężczyzn rodu jednego naczelnika Trzy te gospodynie, jedna przełożona i jeden naczelnik tworzyli radę, rządzącą rodem, a więc cztery kobiety i jeden mężczyzna. Naczelnicy jedenastu rodów — w porozumieniu z kobietami przełożonemi — wybierali z pośród siebie głównego naczelnika plemienia. Ale właściwie całem plemieniem rządziła wielka rada, zebranie rad wszystkich jedenastu rodów. Wielka rada plemienia w ten sposób składała się z 44 kobiet i 11 mężczyzn.

Jednak z czasem i rolnictwo coraz cięższem się stawało, wymagało coraz większych wysiłków. Musieli do niego zabrać się mężczyzni, a powoli uprawa roli coraz bardziej na nich zaczynała się opierać. Przytem rolnik (również jak pasterz) wytwarza swą pracą więcej, niż niezbędnie potrzebuje na utrzymanie własnego życia. Zdarzało się i myśliwemu upolować więcej niż potrzebował do jedzenia, ale to był tylko wypadek i zresztą zabitej zwierzyny nie można było przechowywać. Teraz rolnik stale wytwarza więcej, niż potrzebuje na ochronienie się od śmierci głodowej, a przytem zboże łatwo można przechowywać. Zaczęło

się więc opłacać zdobywanie i kupowanie niewolników. Na nich spoczął główny ciężar pracy rolniczej. Kobietom pracy ubyło, ale też przez to samo i znaczenie ich upadło. Gdy się zjawił handel, mężczyznom przybyło jeszcze jedno ważne zajęcie i to zajęcie pozadomowe, niedostępne dla kobiety. Dzięki tym i wielu innym przyczynom, prawo macierzyńskie upadło.

Było więc ono urządzeniem ściśle zależnem od pewnego rodzaju gospodarki, z niem powstało, przy jego zmianach znikło.

Kautsky K. Polityka kolonialna dawniej a dziś. (N⁰ 25 i 26 r. b.)

Pod koniec piętnastego i w ciągu szesnastego wieku, dzięki rozwojowi żeglarstwa, przed awanturniczymi żywiołami Europy otwarło się szerokie pole do zbierania łupów za morzem. Z owych czasów datuje się to, co w nowożytnej historyi znamy jako „politykę kolonialną“. Ale polityka ta w różnych państwach i w różnych czasach przechodziła różne koleje.

Początek szukania i podbijania kolonii dały dwa państwa południowej Europy : Portugalia i Hiszpania. Portugalia korzystała z odkrycia drogi morskiej do Indyi, rzuciła się na ten kraj i wzbogacała się handlem, wywożąc z Indyi zwłaszcza korzenie i drogie tkaniny. Hiszpania, dzięki Kolumbowi, stała się panią Ameryki i wywoziła stamtąd złoto i srebro.

Jednak obu tym państwom kolonie ich nie wyszły na dobre. Zarówno w Portugalii jak i w Hiszpanii panowała wówczas absolutna władza królewska, a kraj był oddany na pastwę pasożytnej szlachty dworskiej i kościoła. Te warstwy ludności zagarnęły bogactwa kolonii na swój wyłączny użytek. W Portugalii król był naczelnym kupcem w kraju, handel pieprzem np. był jego monopolem, a cały handel z Indyami wolno było prowadzić tylko na okrętach królewskich, które zdzierały niesłychane opłaty. Nagromadzenie bogactw w ręku króla jeszcze bardziej wzmocniło absolutyzm. Z drugiej strony kraj tak mały, jak Portugalia, nie mógł podołać ciężarom, które pociągało za sobą utrzymanie olbrzymich kolonii. Wojny, zaraza, rozbijanie się okrętów wyludniały Portugalię; przemysł i handel upadał. W końcu większą część kolonii odebrały Portugalii państwa mocniejsze.

To samo widzimy w Hiszpanii. Coprawda, jako kraj większy, mogła ona znieść więcej ciężarów, związanych z utrzymaniem i obroną kolonii, niż Portugalia. Ale i tu, jak tam, bogactwa, złoto i srebro, przywożone z Ameryki, szły do kieszeni lokai, klechów i urzędników dworskich. Władza królewska, czerpiąc pełną garścią z kolonii, nie dbała o rozwój przemysłu w ojczyznie, a święta inkwizycya wytępiła lub wypędziła z kraju wszystkie żywioły, zdolne do przemysłu i handlu. Ziemie w koloniach rozdawano szlachcie dworskiej, która zaprowadziła tam niewolnictwo i pańszczyznę. Ma się rozumieć, lud pracujący hiszpański nie miał po co dążyć do tych kolonii, bo dostałby się tylko z deszczu pod rynnę — z jednego ucisku pod drugie jeszcze gorsze jarzmo. Tymczasem królowie hiszpańscy coraz bardziej wbijali się w dumę i w pretensye, a dzięki temu wkrótce wplątali się w wojny niemal z połową Europy. Jeżeli na obronę kolonii Hiszpania miała przedtem dość sił, to teraz na wojny morskie dla obrony tych posiadłości i zarazem na wojny lądowe w Europie sił zabrakło. Koniec był ten sam, co z Portugalią : Hiszpania wyludniła się i upadła ekonomicznie. (Niedługo straci ostatnią większą swą kolonię — wyspę Kubę).

Już inaczej wyglądała polityka kolonialna Holandyi. W kraju tym bardzo wcześnie powstała silna burżuazya i rozwinął się handel. Po obaleniu panowania najazdu hiszpańskiego Holandya stała się krajem wolnym, a burżuazya jej rzuciła się do zdobywania kolonii i do handlu zamorskiego. Wobec powszechnej wojny na morzu i na lądzie oraz korsarstwa, które wówczas panowały, pojedyńczy kupiec nie był w stanie prowadzić handlu morskiego. Zajmowały się tem — jak dziś budową kolei — wielkie kompanie, którym państwo dawało specyalne przywileje. Tak było w Holandyi i w innych krajach (Anglii, Francyi). Korzyści z kolonii holenderskich nie szły na wzmocnienie władzy królewskiej i pasożytów dworskich, lecz do kieszeni kapitalistów, burżuazyi. Dzięki temu, handel holenderski rozwinął się znakomicie i rozkwitł przemysł. Ale to wzbudziło zazdrość w Anglii i Francyi. Holandya musiała prowadzić wojnę na lądzie z Francyą, na

morzu z Anglią, i w nierównej walce uległa, kolonie po większej części dostały się anglikom, a Holandya w ciągłych wojnach podupadła pod każdym względem.

Powszechnem dążeniem do zdobywania kolonii przejęła się i Francya. Stała ona w siedmnastym wieku pod względem rozwoju handlu i przemysłu lepiej już, niż Hiszpania i Portugalia, lecz panował w niej ten sam absolutyzm i ta sama szlachta, co w tych dwóch krajach. To też francuska polityka kolonialna była jakby mieszaniną polityki holenderskiej i hiszpańskiej. W amerykańskich swych koloniach — w Kanadzie — Francya zaprowadziła porządki hiszpańskie: grunty rozdawano arystokratom, ci starali się ściągnąć kolonistów z ojczyzny, by ich wyzyskiwać tak, jak wyzyskiwano chłopa francuskiego w domu. Oczywiście kolonistów dużo się nie zebrało. Kanada pozostawała niezaludnioną i w końcu zabrali ją anglicy. W Indyach natomiast rząd francuski starał się o interesy burżuazyi na sposób holenderski. Ale tej burżuazyi nie dawano wtrącać się do zarządu i kierowania własnymi jej interesami. Dyrektorów np. francuskiej kompanii dla handlu z Indyami nie wybierali członkowie kompanii, lecz naznaczał król, czyli jego dworscy faworyci, którzy się znali na handlu jak koza na pieprzu. Ma się rozumieć — kompania zbankrutowała. Przytem Francya na podobieństwo Hiszpanii uwikłała się w wojny lądowe w Europie, marynarka jej wobec tego rozwijać się nie mogła, i w 1763 r. widzimy Francyę prawie zupełnie pozbawioną kolonii. Jej posiadłości w Indyach zagarnęli również anglicy.

Historya kolonii angielskich jest inna. W połowie XVII wieku Anglia zupełnie uwolniła się od despotyzmu królewskiego i gospodarki szlacheckiej. A już przedtem oddawna stała ona pod tym względem lepiej, niż jakikolwiek inny kraj Europy. Położenie Anglii na wyspie uchroniło ją od wojen lądowych i wydatków na armię. Dzięki też temu, szybko wyrosła tu potężna marynarka. Na początku marynarka ta coprawda uprawiała głównie korsarstwo, ale prędko zaczęła służyć regularnemu handlowi i zdobywaniu kolonii. Anglia poszła w ślady Holandyi i rychło ją prześcignęła. Polityką Anglii kierował nie despota i jego faworyci jak we Francyi, lecz burżuazya, a ta umiała swych interesów pilnować. Co inne państwa traciły, to Anglia prawie zawsze zabierała.

Wszystkie kolonie, o których dotychczas mówiliśmy : kolonie hiszpańskie, portugalskie, francuskie, a nawet po części i holenderskie jedną mają wspólną cechę : europejczycy szli do nich tylko po to, by się wzbogacić kosztem ludności tubylczej i wracać z łupami do domu. Dopiero anglicy założyli w Północnej Ameryce kolonie innego rodzaju. Wychodźcy angielscy osiedlali się tu na stałe i pracowali — głównie nad uprawą roli. Z takiej kolonii już nietylko wywozić można było towary, ale i wwozić je do niej, bo wyroby angielskie znajdowały tu ludzi, którzy mieli całkiem inne potrzeby życiowe, niż dzicy indyanie i negrzy. Coprawda te to właśnie kolonie Anglia prędko straciła. Koloniści angloamerykańscy nie dali się wyzyskiwać za pomocą ceł i różnych ograniczeń, samowolnie przez parlament angielski na nich nakładanych. Oderwali się od Anglii i stworzyli dzisiejsze Stany Zjednoczone Północnej Ameryki. Był to na razie straszny cios dla Anglii, ale nauczył ją rozumu. Dziś prawie wszystkie kolonie angielskie mają samorząd, i Anglia zupełnie zadowalnia się handlem z nimi, nie żądając dla siebie żadnych przywilei.

Nic zresztą dziwnego, że Anglia zmieniła swe postępowanie z koloniami. Ba, doszło do tego, że przez długi czas burżuazya angielska niechętna była wogóle zdobywaniu kolonii. Przypisać to należy powstaniu wielkiego przemysłu i przewadze przemysłowej burżuazyi. Dawniej szło w polityce kolonialnej głównie o to, by wywozić towary podbitego kraju do ojczyzny, szło więc i o to, by odgrodzić od korzystania z nich inne kraje europejskie. A tych celów burżuazya czy arystokracya mogła dopiąć tylko za pomocą wcielenia takiego kraju do swego państwa i otoczenia go swemi granicami. Teraz gdy w Anglii rozwinął się olbrzymi przemysł, chodzi głównie o to, by znaleść nabywców na wyroby angielskie. Wyrobów tych wytwarza się coraz więcej ; robotnicy angielscy zużyć ich nie mogą, bo nie mają za co kupić ; burżuazya sama też zjeść ani wypić ich — choćby chciała — nie potrafi ; trzeba je więc gwałtem spieniężyć i to spieniężyć zagranicą. A przemysł angielski tak już się rozwinął, że żadnej konkurencyi się nie boi : wytwory jego są tańsze i lepsze a przynajmniej nie droższe i nie gorsze niż innych krajów. Nie kolonii więc już potrzeba

Anglii, lecz — wolnego handlu. To też burżuazya angielska nie pragnie już odgradzać sobie kawałków na kuli ziemskiej, mówić „to moje“ i zamykać drzwi do nich innym krajom. Przeciwnie, chciałaby ona, by drzwi wszystkich krajów stały przed nią otworem i gotowa jest u siebie dać wolny dostęp każdemu. W 1854 r. cały wywóz towarów z Anglii wynosił 97 milionów funtów szterl., z tego 34 miliony do wszystkich kolonii angielskich razem wziętych (przytem do olbrzymich Indyi tylko 9 milionów), zaś do Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki 21 milionów. Nie miała więc Anglia czego żałować, że Stany Zjednoczone już do niej nie należą; nie potrzebowała skąpić samorządu takim swym koloniom, jak Kanada, Kapland i kolonie australijskie; wreszcie nie wzdychała do nowych kolonii, gdy wolny handel z obcemi państwami albo nawet handel oclony — byle nie zbyt wysokiemi cłami — dawał jej bez żadnego kłopotu te same lub większe korzyści, jak kolonie.

A jednak w ostatnich 20 latach Anglia napowrót wchodzi na drogę polityki kolonialnej. Co ją do tego skłoniło? Oto — postępowanie innych państw europejskich. Państwa te ogrodziły się wysokim murem ceł w Europie, a potem znowu zaczęły sięgać po zdobycze zamorskie, po kolonie. W dodatku szukają one kolonii też po to tylko, by je takim samym murem otoczyć i zamknąć do nich dostęp Anglii. Anglia musi się bronić i iść za ich przykładem.

Państwa te — to Niemcy, Francya i Rosya. Ich polityka kolonialna jest pod każdym względem wsteczna.

Anglia rozpoczęła swą politykę kolonialną wtedy, gdy despotyzm był tam już zupełnie pokonany, a burżuazya stosunkowo silna. To też kolonie angielskie dały tylko dalszego bodźca rozwojowi przemysłu i wogóle społeczeństwa Anglii, razem z burżuazyą rosła swoboda i rosły siły proletaryatu.

Natomiast zarówno Francya jak Niemcy przeszły przez długi okres absolutyzmu, w którym wzrosła potęga armii i biurokracyi. Potęga ta istnieje do dziś i mimo pozornie swobodnych urządzeń politycznych — ona to kieruje państwem. Burżuazya mogłaby ją złamać, tylko działając na współkę z proletaryatem. Tymczasem od dni czerwcowych 1848 r. i komuny paryskiej burżuazya daleko bardziej nienawidzi proletaryat, niż traktujące ją zgóry i upośledzające ją ciągle biurokracyę, armię i plutokracyę finansową. Zamiast walczyć z temi klasami, burżuazya przemysłowa Niemiec i Francyi szuka u nich opieki przed proletaryatem. To też kolonie niemieckie i francuskie — zdobywane pod różnemi hasłami — służą tylko do tego, by dać laury i awanse oficerom, posady urzędnikom i pole do szwindlów giełdziarzom. Przytem uwaga narodu odwraca się od spraw wewnętrznych, a w Niemczech zawsze dotąd wrzawa podbojów kolonialnych używana była na to, by mniej zauważono jakiś nowy wybryk reakcyjny w prawodawstwie. A tymczasem kraj, zmuszony jednocześnie ponosić olbrzymie koszty militaryzmu na lądzie, wycieńcza się do reszty na marynarkę.

Jeżeli takie są cele kolonialnej polityki państw konstytucyjnych jak Francya i Niemcy, to cóż dopiero mówić o Rosyi? Walka Rosyi z Anglią datuje się oddawna. Rozpoczęła się ona od zatargu o Turcyę, którą Rosya chciała pochłonąć, a którą Anglia musiała utrzymywać w interesach handlu z nią i dla zabezpieczenia drogi do Indyi. Walka ta trwa ciągle w Azyi Środkowej, gdzie Rosya zdobywa kraj po kawałku, rozszerza i wzmacnia swe wpływy w Persyi i Afganistanie, a w ten sposób coraz bardziej zbliża się do Indyi angielskich. Wreszcie teraz Anglia z Rosyą zetknęły się w Chinach.

B. A. J.

Otrzymane w redakcyi „Światła“.

a) książki:

Ksiądz Stojałowski w świetle swoich własnych słów i listów. Przyczynek do historyi Galicyi. Str. 82. Londyn 1898 r.

Jest to zbiór dokumentów, dokładnie malujących całą przewrotność tego karyerowicza politycznego.

Labour Annual. (Rocznik Robotniczy) 1898 rok. Str. 224. Joseph Edwards, Wallasey near Liverpool. Cena 1 sh. (50 kop.)

Czwarty rocznik tego nadzwyczaj pożytecznego wydawnictwa przedstawia się jeszcze lepiej, niż poprzednie. Jest to książka, niezbędna dla każdego chcącego informować się o ruchu robotniczym angielskim. Sprawozdania organizacyi, adresy, biografie, chronologia, bibliografia, portrety, z każdym rokiem są dokładniejsze; a zresztą każdy rocznik przynosi nowy materyał, stare zaś mimo to są zawsze pożyteczne.

Financial Reform Almanack. (Rocznik reformy finansowej). 1898. Str. 318. John Heywood. 18. Hackins Hey. Liverpool. Cena. 1 sh. (50 kop.)

Wydawnictwo liberalnego Związku Reformy Finansów. Związek ten dąży do „oszczędnej gospodarki państwowej, zniesienia wszelkich podatków pośrednich, reformy praw o własności ziemskiej i zniesienia resztek ograniczeń wolnego handlu“. Rocznik zawiera parę agitacyjnych artykułów w duchu liberalnym i doskonały zbiór najświeższych i dokładnych danych o stanie finansów Anglii.

b) Pisma:

1) Partyjne i robotnicze:

Robotnik. Organ Polskiej Partyi Socyalistycznej. Warszawa. N⁰ N⁰ 26 i 27.

Górnik. Wydawnictwo Polskiej Partyi Socyalistycznej. Warszawa. N⁰ 5

Przedświt. Czasopismo społeczno - polityczne. Organ Związku Zagranicznego Socyalistów Polskich. Miesięcznik. N⁰ 7. Beaumont Square Mile End London E. 4 sh. rocznie. N⁰ 1, 2 i 3.

Robotnik. Tygodnik społeczno - polityczny. Organ partyi socyalno - demokratycznej. N⁰ 8. Pasaż Hausmana, Lwów. 10 franków rocznie.

Równość. Pismo poświęcone sprawom zawodowym, społecznym i politycznym ludu pracującego. Organ partyi socyalno - demokratycznej. 3 razy na miesiąc. N⁰ 22. Saska Kępa, Cieszyn. 9 franków rocznie.

Prawo Ludu. Organ partyi socyalno - demokratycznej. Dwutygodnik. N⁰ 30. ul. Sławkowska, Kraków. 3 franki rocznie.

Ognisko. Czasopismo dla spraw drukarskich i pokrewnych zawodów. Organ związku austryackich stowarzyszeń drukarskich. 3 razy na miesiąc. N⁰ 14. ul. Łyczakowska, Lwów. 5 franków rocznie.

Górnik. Czasopismo dla polskich górników i hutników. Dwutygodnik. N⁰ 22. Johanniterstrasse, Bochum. 2 m. 40 fen. rocznie.

Siła. Tygodnik społeczno - polityczny. Nakładem związku Polskich oddziałów S. P. R. w Stanach Zjednoczonych. 550. Broadway, Buffalo N. Y. 5 franków rocznie.

Postęp. Pismo poświęcone sprawom polskiego ludu pracującego w St. Zjedn. p. Am. Tygodnik. 522 N. Shamokin Street. Shamokin Pa. 7 fr. 50 cent. rocznie.

2) Inne:

Walka. Warszawa. N⁰ 1 i 2.

Przegląd Wszechpolski. Dwutygodnik polityczny i społeczny. N⁰ 3. ul. Małeckiego, Lwów. 12 franków rocznie.

Gazeta Handlowo - Geograficzna. Organ polskiego Towarzystwa Handlowo - Geograficznego we Lwowie. Dwutygodnik. N⁰ 8. ul. Akademicka Lwów. 10 franków rocznie.

Redakcyom Przedświtu, Prawa Ludu, Siły i Równości składamy gorące dzięki za poparcie naszego pisma, a również wszystkim organom partyjnym za rozesłanie prospektu „Światła“.

TREŚĆ : Ksiądz Piotr Ściegienny (z portretem), B. A. J. — Rok 1848 w Poznańskiem, Jan Wierzba. Nasza broń klasowa, M Luśnia. — Państwo jezuickie w Paragwaju, Wincenty Sikorski. — Prawodawstwo fabryczne w Szwajcaryi, F. P. – Socyalizm w Irlandyi, James Connolly. — Angielskie partye polityczne, B. A. J. — Przegląd Prasy. — Drobne notatki.

Cena pojedyńczego № „ŚWIATŁA" jest 25 kop.. 4 d., 45 centimów, 35 fenig., 20 cent. austr., 10 cent. ameryk. Cena 4 numerów (z przesyłką) zgóry : 1 sh. 4 d., 1 fr. 75 centimów, 1 m. 40 fen., 80 centów austr., 40 centów ameryk.

Pieniądze wysyłać należy przekazem pocztowym, podając adres wysyłającego osobnym listem. Z Niemiec (ale tylko z Niemiec) można wysyłać należność znaczkami pocztowymi.

Printed by Al. Dębski, 7 Beaumont Square Mile End E. and published by J. Kaniowski, 119. Stepney Green Dwellings, Stepney, London E.